№ 26 Warszawa, dnia 13 (25) Czerwca roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

ZAWIADOMIENIE.

Redakcya „Tygodnika Mód i Powieści“ oraz „Przyjaciela Dzieci“ w dniu 8-m Lipca b. r. przeniesioną zostaje na ulicę Widok pod Nr. 3 nowy, drugi dom od ulicy Brackiej po lewej ręce. Od tego więc dnia upraszamy o wysyłanie listów pod adresem powyżej wskazanym.

ŻONA NIEWIDOMEGO.

PRZEZ

M. G. CHERVILLE,

Przekład **S. D.**

I.

O godzinie trzeciej po południu piękna kareta ozdobiona herbem i koroną, zatrzymywała się codziennie u bramy Tuilleryjskiego ogrodu, wychodzącej na ulicę Rivoli. Gdy służący otworzył drzwiczki, wysiadała naprzód młoda kobieta, z widoczną troskliwością podawała rękę młodemu mężczyźnie, gdy ten nieśmiało stawiał nogę na stopniu, a potem ująwszy towarzysza pod ramię prowadziła go w głąb cienistych alei. Za nimi wieśniaczka bretońska w wysokim czepcu, piastowała jasnowłose dzieciątko.

Mężczyzna mógł mieć około lat trzydziestu, wzrost jego był dorodny, każdy ruch nacechowany wytwornym wdziękiem, acz nieśmiały i niepewny siebie. Rysy oblicza uderzały niepospolitą pięknością; w oku tylko ciemnem, kształtnie osadzonem, zdobnem długiemi rzęsy, brakło żywotnego wyrazu; ze zgasłej źrenicy nie wybiegał najsłabszy nawet promyczek. Nieszczęśliwy był niewidomym.

Powierzchowność towarzyszki przedstawiała się w sprzeczny zupełnie sposób. Przyroda dla mężczyzny szczodrobliwa aż do zbytku, odmówiła kobiecie wszelkich darów. Nizka, chuda, niezgrabna, rysy miała niekształtne, cerę zwiędłą i zżółkłą; brakło jej tego nawet wdzięku, jaki młodość roztacza zwykle choćby na szpetnej twarzy.

Cóż mogło spowodować połączenie pary tak niedobranej? Jakimże sposobem Cecylia, uboga nauczycielka, pozbawiona wszelkich powabów, mogła zostać małżonką pięknego hrabiego Roberta, pana milionowego majątku?

Panna Cecylia przez lat kilka przebywała w domu zamożnej rodziny mołdawskiej w Jassach. Dokończywszy wychowania dwóch panienek, wracała na Wiedeń do Francyi. Płynęła właśnie Dunajem, kiedy kapitan widząc uszkodzony parostatek, zmuszony był wstrzymać żeglugę i zostawić podróżnych w miasteczku Rybitznie o kilkanaście mil od Belgradu. Młoda nauczycielka zakołatała we drzwi jedynej gospody: z pierwszych słow oberżysta odgadł w niej cudzoziemkę.

— Czy pani nie jesteś Francuzką? zapytał z żywem zajęciem.

— Tak jest, cóż panu na tem zależy?

— Bardzo wiele, odrzecze Rumun, od kilku dni, mam w domu młodego Francuza ciężką złożonego chorobą. Tem trudniejsza z nim sprawa, że nie mówi wcale po niemiecku, ani też po rumuńsku. Nikt w domu nie może go zrozumiéć. Może pani zechce przyjść w pomoc choremu ziomkowi.

— Poprowadź mnie pan, zawołała żywo, uczynię co będzie w mojej mocy.

Biedna Cecylia tak upośledzona pod względem powierzchowności posiadała najwyższe zalety serca. Gotowa zawsze zapomnieć o sobie dla drugich, nie cofnęła się przed żadną ofiarą, nie pytała nigdy czy starczy jej sił do spełnienia szlachetnego zamiaru: umiała wszystko pokonać mocą woli. Pośpieszyła czemprędzej do chorego.

Stan jego prawdziwie był opłakanym. Z podróży naukowej do ujścia Dunaju wyniósł zaród tyfoidalnej gorączki.

Choroba rozwijała się gwałtownie; czując niebezpieczeństwo, opuścił statek którym płynął do Wiednia; zatrzymał się w węgierskiem miasteczku Rybitznie. Od dwóch dni leżał bez przytomności. Na pytania Cecylii odpowiadał jakiemś niezrozumiałem bełkotaniem. Głęboko dotknięta okropnym stanem chorego, bez wahania postanowiła zostać dni kilka przy nim, spełnić to w czem widziała wyraźny rozkaz Opatrzności, czekać na przesilenie choroby, lub przynajmniej osłodzić ziomkowi ostatnie chwile, przysypać mu oczy obcą ziemią.

Wypadało przedewszystkiem uwiadomić rodzinę. W pugilaresie złożonym u oberżysty znalazł się paszport. Cecylia wyprawiła go spiesznie do ambasy francuzkiej w Wiedniu, opisała przytem rozpaczliwy stan chorego, polecając jak najśpieszniejsze zawiadomienie rodziców lub krewnych. Spełniwszy ten pierwszy obowiązek, dniem i nocą czuwała przy wezgłowiu jak Siostra miłosierdzia.

Zadanie było trudne, tem trudniejsze, że doktór miejscowy nie budził w Cecylii żadnego zaufania. Mimo wypuszczonej obficie krwi maligna nie ustawała, mózg silnie był zajęty, gwałtowne zapalenie objawiło się w oczach.

Od dziesięciu dni, opiekunka nie opuszczała chorego. Jedenastego dnia z rana coś zaturkotało na bruku przed oberżą. Cecylia biegnie do okna, widzi wysiadającą z powozu podeszłą matronę,

z białym jak mleko włosem. Zamieniwszy kilka słów z oberżystą, podróżna wstępuje żywo na wschody.

— To matka! pomyślała Cecylia, zadanie moje skończone! i cień smutku przemknął jej przed oczyma. Żal jej było opuścić tego nieznajomego między życiem a śmiercią.

Matka bez tchu przybiega do chorego. Na widok obrzękłych oczu i spalonych ust syna, upada na kolana, głośnym wybucha płaczem. Młodzian nie poznaje matki; martwy jak słup, nie wie gdzie jest, co się z nim dzieje.

Drżąca jak listek Cecylia zbliża się do matrony, tłomaczy co ją tu sprowadziło.

— Uspokój się pani, rzecze słodko, ufajmy Bogu! tyle dni przeminęło, nie traćmy jeszcze nadziei.

Matka chwyta w objęcia nieznajomą, gorącem słowem i gorętszym uściskiem wyraża jej swą wdzięczność.

Czuła jednak Cecylia, że spełniła do reszty swój obowiązek. Wieczorem przystąpiła ścicha do hrabiny, siedzącej u wezgłowia, oznajmiła jej, że nazajutrz o świcie puści się w dalszą podróż.

— Jam tu już nie potrzebna, rzecze, wszak go zostawiam pod troskliwą opieką matki.

— Zostań! zaklinam cię na Boga! zawołała hrabina błagającym głosem, nie opuszczaj mnie w takiej chwili.

Chory, jakby przychodząc do zmysłów, poruszył głową, podniósł rękę z wyrazem zniecierpliwienia, chciał wyraźnie coś mówić, lecz jęk tylko wybiegł z ochrzypłej piersi.

Cecylia ujęła w powietrzu jego rękę.

— Cicho, cicho! uspokój się pan, wyrzekła słodkim głosem.

Młodzian schwycił rękę Cecylii, wpoił w nią z całą siłą wychudłe swe palce.

— Widzisz, zawołała matka, on nie chce wypuścić swego anioła stróża! przez litość nie opuszczaj nas! Wszak jedziesz do Paryża po nowe miejsce, mówiłaś to sama przed chwilą. To miejsce ja ci ofiaruję, bądź towarzyszką moją, a ja przysięgam ci, kochać cię będę jakby rodzoną córkę!

Trudno było opierać się tak silnym naleganiom. Cecylia przystała. Czuła ona, że obecność jej zarówno potrzebna matce jak i synowi.

Przyśpieszona podróż, a bardziej jeszcze gwałtowne wzruszenia, wstrząsnęły do gruntu zachwianem już zdrowiem hrabiny. Biedna Cecylia musiała pielęgnować zarazem dwoje chorych.

W kilka dni potem pomyślna zmiana dała się spostrzedz w młodzianie. Gorączka opuściła go, umysł wytrzeźwiał, siły pomaleńku wracały; oczy tylko w najsmutniejszym były stanie. Kiedy Cecylia mogła już dostawić do Wiednia oboje chorych, wezwani lekarze, po naradzie wspólnie odbytej, oświadczyli stanowczo, że na przywrócenie wzroku, sztuka lekarska nie ma już żadnych środków. Tęcza oka straciła wszelką sprężystość, ślepota była nieuchronną. Młody hrabia przyjął bez sarkania ten wyrok, potwierdzony wkrótce przez pierwszych okulistów paryzkich. Zgodził się zupełnie z losem swoim.

Hrabina z synem przeniosła się do zamku w Normandyi. Sama umarła w kilka miesięcy potem. Na chwilę przed śmiercią błogosławiąc synowi, poleciła mu tę, którą zwała aniołem stróżem.

Nieszczęśliwy młodzian, obojętny na własne kalectwo, gorzko opłakiwał skon matki. Umysł jego sposępniał, myśli plątały się bez ładu. Ilekroć Cecylia zbliżyła się do niego, aby przeczytać mu jakiś ciekawy ustęp z książki albo dziennika, lub też poprowadzić go na przechadzkę, witał ją również słodkim jak dawniej uśmiechem, dziękował tkliwie za opiekę; ale ten uśmiech szybko ubiegał z ust młodziana, oblicze jego coraz smutniejszy przybierało wyraz. Nieobecność jej budziła w nim dręczące myśli. Raz gdy wyjechała do poblizkiego miasta, za powrotem znalazła go w okropnym stanie.

Wtem chorobliwem usposobieniu, widziała Cecylia boleść i tęsknotę po matce. Robert nie żalił się nigdy, cierpienie jego tem było głębszem, że najmniejsza skarga nie przyniosła mu ulgi. Trzeba było wstrząsnąć nim, wyrwać go z odrętwienia, wycisnąć mu łzy z oczu. Zrozumiała to Cecylia.

— Miej pan odwagę, podnieś czoło, wydobądź z siebie nowe siły, zagadnęła tkliwie; błagam cię o to w imię matki, którą tak gorzko opłakujesz!

— Tak jest, odparł Robert, ja opłakuję drogą matkę, ale mam wiarę, wiem że każda chwila zbliża mnie do niej, to też boleść moja daleka od rozpaczy. Ze ślepotą oddawna się już oswoiłem, tyś mi panno Cecylio o tyle mój los osłodziła, że niekiedy gotów jestem błogosławić kalectwu memu. Powodem smutku mego, nie to co było, nie to co jest, lecz to raczej co będzie. Obawiam się jutra!

— I czegóż się pan lękasz? zapytała Cecylia drżąca jak liść osiny.

— Lękam się utracić tę, której zawdzięczam siłę ducha, lękam się!... nietylko opuszczenia w smutnem kalectwie... lękam się!... bo ją kocham! dodał stłumionym głosem.

Cecylia zbladła; wszystka krew zbiegła z jej lica, serce gwałtownie uderzyło.

— O! nie chciej pan nigdy wątpić o mej przyjaźni, szepnęła niewyraźnie.

— Przyjaźni! powtórzył Robert z goryczą; słuchaj panno Cecylio, dwa słowa określą moją trwogę. Coby znaczyła ta przyjaźń, pytam cię, gdyby kiedyś inne uczucie nieznoszące współzawodnictwa ani podziału, miało zapanować w sercu twojem? Nie, nigdy! jeśli chcesz abym odzyskał dawny spokój, jeśli ci idzie o to, abym jak niegdyś, z wesołem sercem znosił moją ślepotę, która odgradza mnie od ludzi, zasłania przede mną cuda Bożego świata, jeśli chcesz widzieć mnie szczęśliwym, niechajże węzeł silniejszy i trwalszy nad prostą przyjaźń, połączy nas nazawsze. Chciej zostać żoną moją!

Cecylia stanęła jak wryta w ziemię, osłupiały wzrok wlepiła w niewidomego.

— Boże mój! zawołała drżącym głosem, i czemuż nie przybyłam do Rybitzna, choćby o trzy dni wcześniej!

— Dla czego?

— Bo pan nie byłeś jeszcze tak chorym, twoje oczy jeszcze nie zagasły! Byłbyś mnie widział; rysy moje byłyby zostały w twojej pamięci. Ale mamże taić? jam szpetna panie Robercie, tak szpetna, że przyjaźń moja, którą tak mało ważysz, nie pozwoli nigdy abym została żoną twoją.

— Mylisz się panno Cecylio, zawołał Robert z uniesieniem, ty nie możesz być szpetną! Anielska słodycz, co przepełnia twe serce, musiała odbić się w oku twojem, szlachetne uczucia musiały znaleźć odblask i na obliczu; twój uśmiech musi być łagodnym jak słowo co wybiega z ust twoich. Co mi znaczą mniej więcej kształtne rysy, których zobaczyć mi nie dano? Ja kocham duszę twoją; czystszej i piękniejszej nie było i nie ma na świecie!

W miarę jak mówił, promień szczęścia rozjaśniał oblicze Cecylii, serce jej uderzyło pełnem tętnem, myśl ubiegała na skrzydłach w świat jakiś tajemniczy, w świat o jakim nie marzyła nigdy, nawet we śnie. Wkrótce widzenie znikło, myśl nagle wytrzeźwiała, z wyżyn idealnych zstąpiła do zimnej rzeczywistości. Zawstydzona chwilowym obłędem Cecylia stawiła niezłomny opór, odmówiła stanowczo.

Walka prawdziwie bohaterska trwała przez dwa miesiące. Hrabia coraz goręcej błagał, Cecylia coraz uporczywiej broniła się przeciwko naleganiom; w końcu zabrakło jej sił. Biedna walczyć musiała nietylko z Robertem ale i z sercem własnem. Patrząc na głęboką boleść młodziana, na trawiący go smutek, na życie jego stargane nieuleczonem kalectwem, poświęciła nakoniec wszelkie światowe względy.

Tym to sposobem uboga i szpetna nauczycielka została hrabiną de Chatillon.

Świat nie znał szczęśliwszego związku. Nigdy zapewne dwie istoty nie umiały lepiej urzeczywistnić ideału zgody i miłości małżeńskiej. Szczęście to tak było wielkiem, że Cecylia patrzyła na nie z trwogą.

— To jakiś sen czarodziejski, powtarzała nieraz do siebie, i najmniejszy łoskot przejmował ją dreszczem, biedna lękała się zbudzenia.

II.

Skutkiem ślepoty hrabiego, młodzi małżonkowie żyli usunięci od świata, utrzymywali tylko związki z najbliższą rodziną.

Raz wieczorem znaleźli się w salonie pani de Gleves bliskiej krewnej Roberta. Wśród gości Cecylia spostrzegła jakiegoś pana w podeszłym wieku, ubranego w sposób oryginalny. Pilnem okiem śledził on Roberta, ani na chwilę nie spuszczał go z uwagi. Uderzyło to Cecylią. Bardziej jeszcze zadziwiła się, kiedy pani de Gleves zamieniwszy kilka słów z nieznajomym, zbliżyła się do niej, pytając czy może go przedstawić.

— Jest to, rzekła, doktór Rychter, sławny okulista amerykański. Dokonał już kilku cudownych kuracyi, uleczył osoby dotknięte długoletnią ślepotą, kto wie czyby nie uleczył i Roberta?

Cecylia z żywą radością podała rękę doktorowi. W długiej rozmowie opowiedziała mu szczegółowo okoliczności w jakich Robert zaniewidział. Doktór oświadczył, iż nie przypuszcza, aby w sztuce okulistycznej nie było środka na ten rodzaj choroby.

— Nim wyrzeknę stonowcze słowo, dodał z prostotą właściwą ludziom prawdziwie uczonym, muszę zbadać dokładnie oczy hrabiego.

Cecylia przyrzekła pomówić zaraz z mężem; skłonić go do poddania się nowej kuracyi.

Trudne to było zadanie. Hrabia wyczerpał wszelkie środki; przeszedł niejedną uciążliwą kuracyą, pod okiem najsłynniejszych koryfeuszów francuzkich i niemieckich, nie gardził nawet radami szarlatanów. Nie doznawszy najmniejszej ulgi, przekonany był, że żadna moc ludzka nie powróci mu wzroku. Pogodził się w końcu z tą myślą. Nie chcąc wystawiać się na nowe próby, odmówił stanowczo, nie chciał przyjąć odwiedzin amerykańskiego doktora.

Cecylia przeprosiła grzecznie okulistę, poczem siadła smutna w zakątku sali, przysłonięta na pół kłąbem rozkwitłych rododendronów. Nagle z po

za krzewów potrącił jej ucho ostry głos pani de Gleves.

— Pojmujesz kochanko, mówiła do przyjaciółki, żem nie tak naiwna, abym nie miała zrozumiéć tych piekielnych podstępów. Wszystko to matactwo przebiegłej Cecylii! Ten potwór opanował biednego chłopca. Rzecz jasna jak słońce, iż gdyby doktór otworzył mu oczy na światło, Robert spostrzegłby odrazu, jak śmieszną odgrywa rolę między ludźmi, i ta trzyletnia komedya idealnej miłości małżeńskiej, znalazłaby wnet rozwiązanie.

Cecylia blada jak widmo, drżąca, powstaje z miejsca, wzrokiem gorączkowym zatacza w koło sali. Spostrzega odrazu siwą głowę wychodzącego doktora. Co tchu pośpiesza za nim, dogania go na schodach.

— Doktorze, zawoła zmienionym głosem, czekamy pana jutro w południe. Jeśli mąż odzyska wzrok, błogosławić będę do skonu dobroczynną rękę co go uwolni od kalectwa!

W kilka minut potem, Robert wsparty na ramieniu żony, opuścił salę. Serce jej gwałtownie uderzało.

Biedna, przebyła noc bezsenną. To szczęście tak zupełne, tak niespodziewane byłożby tylko snem chwilowym? Miałoż rozwiać się jak sen i ustąpić miejsca najstraszliwszej rzeczywistości? Tak, niestety, słowa pani de Gleves były w jej mniemaniu smutną prawdą! Kiedy Robert zobaczy z jak szpetną istotą zmuszony żyć nazawsze, czyż podobna by jej nie znienawidził? Wprawdzie on zbyt dobry, zbyt szlachetny, aby miał zerwać święty węzeł, on jej zostawi imię, tytuł, stanowisko w świecie, podzieli z nią majątek, ale czemże to wszystko dla niej? Wszystko to ona gotowa poświęcić bez żalu, z uniesieniem radości, byleby z tego rozbicia unieść jedyną deszczułkę jego miłość... tę miłość która dała jej szczęścia tyle, która była jej życiem, jej chlubą, bez której przyszłość miała się stać dla niej pasmem bezustannych udręczeń!

Smutny ten obraz w coraz jaskrawszych barwach przedstawiał się przed oczyma kobiety. Pewna nieszczęścia swego, odganiała z serca wszelką nadzieję. Całą noc gorzko przepłakała; łzy przecież nie zachwiały jej w silnem postanowieniu.

Rankiem błaga znów męża; nie mówi nic o nikczemnem posądzeniu pani de Gleves; błaga tak słodko, tak usilnie, że nakoniec zwycięża opór.

Doktór Rychter stawił się w południe. Obejrzawszy pilnie sparaliżowane oczy hrabiego, oznajmia w stanowczy sposób, że przedsiębierze kuracyę, że nie wątpi o skutku.

I niezwłocznie przystąpił do rzeczy, usunął chorego do ciemnego pokoju, rozpoczął okłady, które miały przywrócić działalność obumarłym źrenicom: kazał je powtarzać codzień przez dni dziewięć.

Hrabia spełniał niechętnie przepisy doktora, nie wierzył w skuteczność nowych leków. Biedna Cecylia czuła się w położeniu skazanego na śmierć delikwenta; widziała przed sobą dziewięć dni szczęścia i miłości, a potem ciemność i grób.

Niestety! jak delikwent czekający na spełnienie wyroku, cierpiała niewysłowione męczarnie. Każde uderzenie zegara przejmowało ją zimnym dreszczem. Napróżno Robert powtarzał bezustanku, że leki nie pomogą, że Amerykanin spełnić cudu nie zdoła, że po dziewięciu dniach będzie ślepym jak dawniej. Cecylia ani chwili nie wątpiła o skutku, nie wątpiła, bo szczęście jej było zbyt wielkiem, aby długo trwać mogło.

Dziewiątego dnia doktór zastał hrabinę w salonie. Przybył przed naznaczoną godziną; Cecylia nie czekała go jeszcze. Pewna, że nikt ją nie zobaczy, zalewała się łzami.

Amerykanin spostrzegł nadzwyczajną zmianę w rysach kobiety, lecz nie zgadł powodu jej udręczenia.

— Widzę, rzekł postępując do niej, że pani wcale nie podzielasz ufności mojej w uleczenie hrabiego. Szczęściem, że za chwilę, będę mógł przekonać ją lepiej niżeli próżnem słowem. Nim upłynie pięć minut, mąż twój, pani, ujrzy cię tak wyraźnie, jak ja cię teraz widzę.

Cecylia krzyknęła przerażona, doktór dotknął mimowoli najboleśniejszej rany jej serca. Głuche łkanie wybiegło z jej piersi; usta pokryła chustką.

— Przebacz pani, zawołał doktor, ale doprawdy nie rozumiem...

— Zrozumiesz pan zaraz, rzecze kobieta. Kocham męża mego, całą siłą mej duszy; dotąd byłam równie kochaną. A teraz... patrz na mnie doktorze, patrz i powiedz z całą otwartością, czy hrabia spojrzawszy na mnie, tak jak ty patrzysz, będzie zdolnym kochać mnie jeszcze?

Doktór spuścił oczy i westchnął.

— Pani, rzekł po chwili, gdybym był przypuścił... gdybym wiedział...

— Gdybyś wiedział doktorze? Ah! znieważasz mnie takiem słowem! zawołała Cecylia ze zgrozą. Gdym cię błagała o przywrócenie wzroku mężowi, przyrzekłam ci dozgonną wdzięczność, a i teraz powtarzam: jego zdrowie gotowam okupić kosztem szczęścia mego i życia. Błagam cię na kolanach, w imię tego co ci najdroższem, ulecz go!... powróć mu oczy!

Doktór głęboko wzruszony usiłował uspokoić nieszczęśliwą kobietę. Nagle zrywa się z miejsca, wybiega do przyległego pokoju, wraca niosąc w ręku kolebkę, w której spała maleńka Berta. Stawia śpiące dziecię przed Cecylią.

I znów wychodzi z salonu. W parę minut potem ukazuje się we drzwiach, prowadzi za rękę hrabiego z zawiązanemi oczyma. Stawia go w pośrodku pokoju, naprzeciw okien, jednym rzutem ręki zdziera z oczu zasłonę.

Dreszcz przebiegł po obecnych. Robert olśniony blaskiem, zachwiał się na nogach... spostrzegł najprzód kołyskę.

— Córka moja! zawołał z uniesieniem; Bóg mi pozwolił zobaczyć ją na oczy! a Cecylia, gdzie Cecylia? pyta niespokojnie.

Głuchy jęk dał się słyszéć. Biedna kobieta klęczała za kołyską; obie ręce przycisnęła do twarzy.

Robert pochylił ku niej głowę.

— Droga moja! zawołał z uczuciem, i ciebie zobaczę nakoniec.

— Nie patrz na mnie Robercie, zaklinam cię na wszystko, zawołała żona rozpaczliwie. Nie zwodziłam cię, ty wiesz... jam tak potworna, szpetna!

— Ty szpetna? odpowie mąż z uśmiechem, alboż matka dziecka mego może być szpetną w oczach moich?

I Robert oderwał przyciśnięte do twarzy ręce żony, z gorącem uczuciem ucałował jej lica.

Doktór tymczasem, otarł ścicha łzę tryskającą mu z pod powieki. Otarł ją ukradkiem, by ta łza nie wydała, że serce Jankesa uderza pod powłoką zimnej obojętności.

Nie pragnę nic więcej!

Ja nic nie pragnę w obliczu natury,
Tylko pogody na niebie i ziemi;
Lata bez burzy, jesieni bez chmury,
I ciepłej tęczy z barwy słonecznemi.
Gdy wiatr jesienny świszcze swe nokturny,
Ja wtedy tęsknię do pieśni słowika:
I pragnę światła, kiedy dzień pochmurny,
Światła, gdy mroźne tchnienie pierś przenika;
Pragnę by zawsze kwitnął krzaczek róży,
By słońce zimą świeciło goręcej,
By urok wiosny trwał na ziemi dłużej...
Zresztą... nie pragnę nic więcej.
Ja już nie pragnę prawie nic na świecie.........
Tylko prostoty, szczerości w kobiecie,
I więcej serca w mężczyźnie.
Pragnę w krytyce bezstronnego zdania,
W artyście duszy, co odczuwa piękno,
I w sercach ludzkich więcej pobłażania,
Kiedy się słabi zachwieją lub zlekną.
Pragnę by ludzie i wielcy i mali,
Raz się pozbywszy natury zwierzęcej,
Duszy nad ciałem przewagę przyznali...
Zresztą.... nie pragnę nic więcej.
Ja już nie pragnę prawie nic na ziemi,
Tylko w dniach smutku kiedy serce chore,
Znaleźć jak owa biblijna Noemi,
W sercu pokrewnem pociechę, podporę;
Chcę widziéć w ludziach ten objaw jedyny,
Szlachetnej duszy, co z nieba myśl przędzie:
Pragnę współczucia, gdy cierpię bez winy,
I przebaczenia, gdym w grzechu lub błędzie.
I pragnę jeszcze by ci zaślepieni,
Co się zaparli swej wiary dziecięcej,
Umieli światło odróżnić od cieni...
Zresztą... nie pragnę nic więcej!

Radoszewice. *Emilia.*

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz o dziewiątej rano wsiadł do wagonu kolei, a wieczorem stanął w Berlinie.

Przybycie swoje zameldował niezwłocznie nowemu królowi; odpowiedziano mu, że król przyjmie go nazajutrz w Poczdamie.

Frederyk udał się tam, przywdziawszy ubiór dworski. Zadziwił się niewymownie gdy mu oznajmiono, że król wyjechał polecając, aby przyjął go jego intendent. W pierwszej chwili chciał odjechać, ale nagle przypomniał sobie jak uprzejmie ów intendent przyjął go przed dwoma laty w zamku Rheimstein, nie chcąc więc okazać się niewdzięcznym, kazał się zameldować.

Wszedłszy do przedpokoju, zobaczył zawieszony tam portret króla w całej osobie; drgnął i chwilkę zatrzymał się przed nim. J. k. mość był jak dwie krople wody podobny do swego intendenta.

Wtedy prawda objawiła się oczom Frederyka. Więc to brat panującego wówczas, obecny król

pruski Wilhelm I-szy przyjmował go w zamku Rheinstein, służył mu za *cicerone*, zatrzymał na obiad, wygrał z nim trzy partye szachów, kazał mu posłać na łóżku langrafa Filipa, ofiarował swoje wstawiennictwo u dworu i żegnając się obiecał pamiętać o nim.

Zrozumiał teraz dlaczego w. książę Wejmarski jego właśnie wysłał z powinszowaniem królowi jego wstąpienia na tron; dlaczego tenże w. książę zrobił go baronem, dlaczego król wyznaczył Poczdam na jego przyjęcie i nakoniec dlaczego j. k. mość rozkazał swemu intendentowi aby go zastąpił.

Król Wilhelm chciał mieć drugą edycyą owego dnia spędzonego z nim w Rheinstein.

Jakby wytrawny dworak, Fryderyk postanowił przyczynić się o ile w jego mocy do zadośćuczynienia tej fantazyi monarchy. Wszedł jakby niczego się niedomyślając, powitał intendenta jak dawną znajomość, zachowując o tyle odcień uszanowania, o ile nakazywała to różnica wieku, słowem odnawiając scenę która tak miłe w umyśle jego pozostawiła wspomnienie.

Intendent tłomaczył nieobecność króla ważnemi sprawami państwa, zaprosił Fryderyka na cały dzień do pałacu i tu jak w Rheinstein był mu ciceronem, zszedł z nim do grobów królewskich i pokazał mu tam grób i szpadę Fryderyka Wielkiego.

Na dziedzińcu czekał zaprzężony powóz; pojechali do Sans-Souci, tylko o dwa kilometry odległego od Poczdamu, gdzie znów niby intendent oprowadził go po pałacu.

Któż nie pamięta, że to w parku tego pałacu stał ów sławny młyn, którego właściciel za nic w świecie nie chciał sprzedać Fryderykowi II-mu, a zagrożony przymusem, zawołał: „Nie boję się! są jeszcze sędziowie w Berlinie!" Wiadomo także, iż spadkobiercy nieugiętego młynarza zgodzili się na sprzedaż młyna królowi Wilhelmowi IV-mu, który chcąc zachować te anegdotyczną pamiątkę, zabronił ruszyć z niego chocby jedną cegłę.

Ale czas, nic sobie nie robiący z rozkazów królewskich, chciał Wilhelmowi I-mu i gościowi jego dać dowód swego nieposłuszeństwa. Na godzinę przed przybyciem Fryderyka i mniemanego intendenta do San-Souci, odpadły cztery skrzydła młyna, druzgocząc otaczającą je balustradę.

A tak dziś nie ma już młyna w Sans-Souci i nie ma sędziów w Berlinie.

Po powrocie do Poczdamu, Fryderyk i towarzysz jego zastali stół nakryty; jedli obiad sam na sam; grali pięć partyi szachów, z których Fryderyk przegrał trzy, i dopiero o północy, gdy już miał odchodzić i intendent życzył mu dobrej nocy, rzekł składając głęboki ukłon:

— N. panie, niech Bóg da w. k. mości dobry sen i szczęśliwe panowanie.

Nazajutrz, król zawieszając etykietę, znowu jak w Rheinstein zjadł z nim śniadanie, mianował kawalerem Orła Czerwonego i nakłonił, aby opuścił zawód dyplomatyczny i wszedł do armii. W tydzień potem Fryderyk został przyjęty do pułku w stopniu porucznika, a gdy przedstawił się królowi, ten przyjął go bardzo łaskawie i przyrzekł, że król będzie o nim pamiętał, tak jak nie zapomniał następca tronu.

We dwa lata później Fryderyk miał dowód, iż król rzeczywiście nie zapominał o nim. Pułk jego garnizonem stanął w Frankfurcie, i tam, u burmistrza, p. Felner'a, poznał dawną rodzinę francuzką, wygnaną z ojczyzny skutkiem odwołania edyktu nantejskiego. Rodzina ta przeszła później na religię katolicką. Składała się z matki, mającej lat 38, z babki liczącej rok 68, i z dwóch młodych dziewcząt, jednej dwudziestoletniej i młodszej mającej lat ośmnaście.

Panie te nosiły nazwisko: de Chandroz.

Starsza z dwóch dziewcząt, Emma, miała czarne oczy, czarne włosy, cerę matową i brwi dobrze narysowane; po za karminowemi ustami błyszczały ząbki białe jak perły. Była to jedna z tych brunetek, obiecujących rodzinie rzymską matronę, zarazem Lukrecyę i Kornelję.

Młodsza jej siostra, Helena, była jasną blądynką, miała cerę białej kamelii, z delikatnym różowym odcieniem. Obok jasnych splotów i białej przezroczystej prawie twarzyczki, niezwykłe wywierały wrażenie jej wielkie ciemne oczy pełne namiętnego wyrazu, czarne brwi i czarne rzęsy, nadające błyszczącym źrenicom posępny blask czarnych dyamentów. Jeźli patrząc na rozważną i spokojną Emmę, zdawało się, że jest stworzoną na jedną z tych matron które religia katolicka robi świętemi, w Helenie przeciwnie wszystko zdawało się zapowiadać burzliwą przyszłość czekającą zwykle kobiety łączące w sobie razem tak sprzeczną piękność brunetek i blondynek.

Czy tak dziwny objaw dwóch połączonych typów odstraszał Below'a, czy czuł się sympatycznie pociągniętym ku starszej siostrze, dość że do niej zwrócił swe hołdy. Był młody, piękny i bogaty, a nadto wiedziano, że ma wielkie łaski u króla pruskiego. Zapewnił iż jeźli pozyska rękę Emmy, królewski jego protektor zamianuje go kapitanem. Młodzi kochali się bardzo, rodzina nie miała powodu sprzeciwiać się ich połączeniu, odpowiedziano mu: „najpierw zostań pan kapitanem". Below wziął urlop na trzy dni, pojechał do Berlina, udał się do króla i trzeciego dnia powrócił z nominacyą na kapitana.

W tym czasie, delikatnego zdrowia matka Emmy, zachorowała na zapalenie płuc, z którego następnie wywiązała się choroba piersiowa popychająca ją do grobu, i po upływie pół roku Emma podwójną była sierotą. Był to jeden powód więcej, aby rodzinie zapewnić opiekuna. Sędziwa babka mogła umrzeć niedługo; to też przeczekano tylko czas grubej żałoby; ślub nastąpił po sześciu miesiącach.

W trzy dni po przyjściu na świat pierwszego dziecięcia młodej pary, baron Fryderyk von Below został mianowany kapitanem. Tym razem tak widoczną była wysoka łaska króla, iż baron von Below postanowił powtórnie jechać do Berlina już nie z prośbą, ale z najkorniejszem podziękowaniem. Podróż ta tem była niezbędniejszą, iż baron odebrał list sekretarza j. k. mości donoszący iż gotują się ważne wypadki, w których przyjdzie mu może przyjąć udział, powinienby więc pod jakimbądź pozorem przybyć do Berlina i przedstawić się królowi.

Daliśmy poznać wyżej zamiary pana von Boesewerk i jak dalece je doprowadził. Król trzy razy przyjął na prywatnem posłuchaniu barona Fryderyka i nie ukrywał przed nim, że zanosi się na wielką wojnę. Nareszcie król rozkazał przenieść go do głównego sztabu, aby w razie wojny mógł zostać adiutantem któregoś z jenerałów ważniejsze zajmujących stanowisko, albo nawet adiutantem następcy tronu lub innego księcia krwi.

Z tego więc powodu baron von Below znajdował się w Berlinie dnia 7 czerwca, to jest w dniu napadu na pana von Boesewerk. Był on jednym z trzech oficerów którzy zasłonili Benedykta przed zajadłością tłumu, i w trudnem znalazł się położeniu, gdy tenże zamiast jak to mówią stchórzyć i zawołać: „Niech żyją Prussy! niech żyje Wilhelm I-szy" zaczął deklamować wiersz Alfreda de Musset, prawie tak dobrze znany w Prusach jak śpiewka na którą odpowiada.

Tak on jak koledzy jego uważali sobie za zniewagę to publiczne zaprzeczenie ich słowom. Wszyscy trzej udali się do hotelu pod Czarnym Orłem, w którym Benedykt wskazał swój adres, i gniew ich nie uspokoił się jeszcze gdy nadszedł do Berlina numer „Gazety Hanowerskiej" zawierający znane czytelnikom zawiadomienie, ogłoszone przez Benedykta. Wszyscy trzej postanowili żądać od niego zadośćuczynienia, ale zastanowili się, że nie wypada trzem wyzywać jednego, zgodzili się, że będą ciągnąć losy kto ma wyzwać Benedykta — los ten padł na Fryderyka.

Wiemy już jak się odbył pojedynek i jakie były jego następstwa.

XVI.

Helena.

W Frankfurcie nad Menem, przy rogu Rosmarkt, w pobliżu Wielkiej Ulicy, naprzeciw kościoła protestanckiego, który zachował nazwę św. Katarzyny, stoi dom, którego architektura nosi charakter przejściowy od czasów Ludwika XIV do Ludwika XV.

Dom ten nosi nazwę Passevent. Dół zajmuje księgarz Giguel, piętro zamieszkuje znana nam już przynajmniej z nazwiska, rodzina Chandroz.

Panuje teraz wśród niej, jeźli nie niepokój, to zawsze pewne zaniepokojenie.

W przeddzień rano, baronowa von Below odebrała list od męża, oznajmiający, że przybędzie wieczorem, a niedługo po nim telegram, aby nie spodziewała go się prędzej jak nazajutrz rano, i nie niepokoiła się wcale jeźliby dłuższe nawet nastąpiło opóźnienie.

Po napisaniu listu do żony, Fryderyk przeczytał obwieszczenie Benedykta w „Nowej Gazecie Hanowerskiej", więc przypuszczając, że może być ranny, chciał oszczędzić żonie niepokoju, tem więcej, że była dopiero tydzień po słabości i dlatego wysłał telegram.

Chociaż kolej przychodziła dopiero o czwartej rano, Hans, stary sługa, już o trzeciej pojechał z powozem, oczekiwać na dworcu pana barona. Od trzeciej do czwartej Emma z dziesięć razy zadzwoniła na pannę służącą. nie pojmując czemu dziś godziny tak długo się wloką.

Nareszcie dał się słyszeć turkot powozu; otworzono bramę, powóz wjechał do niej, od schodów dochodził odgłos kroków i ostróg, i baron wszedł do pokoju żony, rzucając się w jej objęcia.

Emma spostrzegła jakby lekkie skrzywienie męża, w chwili gdy mocno przycisnęła go do serca; zapytała niespokojnie co mu jest. Zaimprowizował historyjkę, że kabryolet przewrócił się, a on wypadając stłukł sobie trochę rękę, i uczuł ból w tem miejscu.

Po turkocie powozu i ruchu jaki zapanował w domu, Helena poznała, że szwagier przyjechał. Zarzuciła prędko biały batystowy negliż, i wbiegła z włosami rozpuszczonemi przywitać Fryderyka, którego bardzo lubiła. Co do babuni, hrabiny de Chandroz, ta sypiała w dość oddalonem skrzydle domu, i przykazano służbie zachować się jak najciszej, aby jej nie budzić.

Z właściwą kobietom intuicyą, pani von Below przeczuła, że stłuczenie ręki musi być cięższe niż

to przyznawał Frederyk, i nalegała aby natychmiast posłać po domowego doktora i chirurga, pana Bodenmacker.

Fryderyk, któremu coraz mocniejszy ból dozwalał domyślać się, że opatrunek musiał się pousuwać, nie sprzeciwiał się żądaniu żony, prosząc tylko, aby była zupełnie spokojna, a on tymczasem weźmie kąpiel którą kazał przygotować. W wannie, chirurgowi łatwiej jeszcze będzie nastawić jedną z ośmdziesięciu dwóch kości, która musiała pozwolić sobie wyjść ze stawu.

Chodziło mu o to aby żona nie dowiedziała się, że poniósł dość ciężką ranę, co mogło udać się z pomocą Hansa i doktora, który miał oznajmić, iż było to lekkie zwichnięcie — nic więcej.

Gdy doktór przybył, Fryderyk powiedział mu, iż wczoraj został szpadą ranny w pojedynku, że rana ciągnie się wzdłuż ręki, że opatrunek obsunął się w drodze, krew przesiąkła aż do zwierzchniej sukni, zlepiając wszystko, opatrunek, koszulę i rękaw od sukni. Doktór zaraz lancetem przerznął rękaw, a potem odciął go przy ramieniu, polecając Fryderykowi, aby zanurzył rękę w wannie z wolną wodą. Gdy nieco odmokło, najpierw odjął rękaw od sukni, a potem z kolei rękaw od koszuli i opatrunek, odsłaniając nareszcie gołą rękę.

Ręka cała była bardzo zaogniona i spuchnięta; plaster gumowy odleciał, rana roztworzyła się przez całą długość, u dołu jej aż do kości dojrzeć było można.

Na szczęście, kąpiel dostarczała dostatecznej ilości ciepłej wody; niezaschnięte wargi rany dały się ścisnąć; doktór obandażował i włożył w łubki rękę, jak gdyby po złamaniu. Nakazał najzupełniejszy spokój, przynajmniej przez dwa lub trzy dni; oznajmił iż sam uda się do jenerała dowodzącego garnizonem pruskim, zawiadomi go pod sekretem, że major potrzebuje się z nim widzieć, a jako ranny wyjść z domu nie może.

Hans uprzątnął pokrwawioną bieliznę i wodę; Fryderyk przeszedł na chwilę do żony i uspokoił ją zupełnie, mówiąc że doktór zalecił jedynie parę dni wypoczynku, aby nie poruszać nastawioną ręką; gdy powrócił aby się położyć, zastał u siebie jenerara pruskiego.

Porozumieli się w kilku słowach; Fryderyk oddał jenerałowi powierzone sobie depesze; zawierały tylko polecenie aby być gotowym do wymarszu na pierwsze wezwanie. Widocznie pan von Boesewerk od którego rozkaz pochodził, chciał mieć tam swój garnizon podczas posiedzeń sejmu; aby o ile się da oddziaływać na zgromadzenie; następnie, odnośnie do okoliczności, wycofa wojsko lub pozostawi.

Jakoż rzeczywiście miano stawić Związkowi pytanie: „po czyjej stanęliby stronie w razie wojny między Prusami i Austryą?"

Fryderyk pragnął bardzo zobaczyć się jeszcze ze swoją siostrzyczką Heleną, której wiele miał do powiedzenia. Od chwili gdy na polu walki obaj z Benedyktem przysięgli sobie wieczną przyjaźń, gdy Benedykt oznajmił mu, że poznał baronową u burmistrza Fellner'a, powstała w głowie jego myśl której pozbyć się nie mógł: aby wydać za Turpin'a siostrę swej żony.

O ile sam poznał Benedykta i z tego co sam dowiedział się o nim, wnosił że dwie te istoty gorącego temperamentu, namiętne, artystyczne i fantastyczne, gotowe każdej chwili choćby na promieniu słońca lub obłoku mgły porannej puścić się w pogoń za jakiemś marzeniem lub pożądaniem swojem, są jakby stworzone dla siebie, i że przeszukawszy świat cały, nie znalazłby lepiej dobranej pary. Chciał więc przekonać się czy też Helena zwróciła na niego uwagę; jeźli tak, pod jakimbądź pozorem ściągnąłby Benedykta do Frankfurtu dla odnowienia znajomości, a jeźli tylko Helena chciałaby się podobać, znajomość ta przybrałaby niebawem rozmiary doprowadzające do celu jaki sobie zakładał.

Helena uprzedziła jego żądanie, gdyż zaledwie jenerał wyszedł zapukała do drzwi jego, mówiąc: To ja!

— Chodź, chodź, siostrzyczko, zawołał.

Weszła cichutko na paluszkach, niby kotek, niby ptaszek.

Fryderyk położył się w szlafroku na łóżku; raniona ręka leżała przy nim wyciągnięta.

— A! panie nic dobrego! zawołała stanąwszy przed nim z założonemi rękami i wpatrując się bacznie, cóż tam znów zbroiłeś?

— Jakto?... cóż miałem zbroić? odrzekł śmiejąc się.

— O! teraz kiedy jesteśmy sami, musisz powiedzieć mi prawdę.

— Dobrze, siostrzyczko, tego właśnie pragnąłem. Choć nikt tu, ani nawet ty sama nie wiesz o tem, jednakże ze wszystkich w domu, ty posiadasz najwięcej mocy charakteru; gdy więc chodzi o coś ważnego, z tobą należy mówić o tem, a ja mam wiele, wiele rzeczy arcyważnych do powiedzenia.

— I ja także. Zaczynam z góry od tego co mnie najwięcej obchodzi. Najpierw tedy powiem ci, iż ani nie zwichnąłeś, ani nie stłukłeś sobie ręki, ale pojedynkowałeś się z kimś, panie zawadyaku, i jesteś ranny pałaszem czy szpadą.

— Prawda, śliczna siostrzyczko, i właśnie chciałem ci się z tem zwierzyć. Rzeczywiście pojedynkowałem się z powodów politycznych i zostałem raniony w rękę, ale tak po przyjacielsku iż żaden nerw ani arterya nie zostały naruszone, nie ma więc nic niebezpiecznego. To najgorsze, że pojedynek ten narobił wiele hałasu, wszystkie gazety pisały i pisać jeszcze będą o nim, trzeba więc strzedz, aby nie wpadły w ręce babuni lub Emmy.

— Odbieramy tylko jedną „Gazetę Krzyżową".

— Otóż, prawdopodobnie ta rozpisze się o tem najobszerniej, rzekł śmiejąc się Fryderyk.

— Śmiejesz się?

— Bo mimowolnie staje mi w oczach twarz tego co będzie opisywał wszelkie szczegóły.

— Co mówisz?

— Tak sobie, mówię sam do siebie, nie ma co zwracać na to uwagi. Otóż, droga Heleno, czuwaj nad tem, aby żona moja i babunia nie czytały przez parę dni „Gazety Krzyżowej".

— Bądź spokojny, dobrze żeś mnie uprzedził.

— Dobrze, a teraz inna sprawa. Czy przypominasz sobie iż spotkałaś kiedyś u burmistrza Fellner'a pewnego młodego Francuza, artystę malarza?

— Pana Benedykta Turpin? Pamiętam doskonale; człowiek bardzo miły i uprzejmy, rysuje w parę minut śliczne szkice, i ma ten szczególny dar, że portrety kobiece robi stokroć piękniejsze a jednak doskonale podobne.

— Oho! jakże się unosisz mówiąc o nim!

— Pokażę ci szkic jaki zdjął ze mnie w jednej chwili. Dodał mi skrzydła, tak że wyglądam niby anioł.

— Więc widać ma talent?

— Wielki.

— I dowcip?

— O! na zawołanie. Szkoda żeś nie słyszał jak się dał we znaki naszym bankierom którym zachciało się żartować z niego. Po niemiecku mówi lepiej i piękniej się wysławia niż oni.

— A w dodatku jest bogaty.

— Podobno.

— A nadewszystko charakter i temperament jego odpowiada zupełnie charakterowi i usposobieniu pewnej młodej panienki, bardzo mi dobrze znanej.

— Nie domyślam się o kim mówisz.

— A jednak doskonale znasz tę osóbkę. Zdaje mi się iż jest trochę fantastyk, żywy, nader wrażliwy, nadzwyczaj lubi podróże, jest doskonałym jeźdzcem, niezrównanym myśliwym i strzelcem, co wszystko zdaje mi się bardzo odpowiadać nawyknieniom i upodobaniom pewnej Dianny Vernon.

— Zdaje mi się, że mnie nazywasz czasem Dianną Vernon.

— Nikogo innego; czy nie poznajesz się w podanym przezemnie rysopisie?

— Doprawdy nie dostrzegam w nim najmniejszego ze mną podobieństwa. Jestem łagodna, spokojna, podobna sama do siebie. Prawda, lubię podróże — ale jakież odbyłam dotąd? Byłam w Paryżu, w Berlinie, w Londynie i w Wiedniu — i nigdzie więcej. Lubiłam konie, ale dotąd nie jeździłam na żadnym innym jak na mojej biednej Gretchen.

— Która dwa razy już o mało cię nie zabiła.

— Tak, ale to nie jej tylko moja była wina. Co zaś do polowania, nigdy nie miałam w ręku dubeltówki i nigdy nawet biednego zająca nie zabiłam.

— Tak, ale to jedynie z powodu, że babunia nie chce pozwolić ci na to, — inaczej...

— O! przyznaję że musi to być bardzo miło galopem pędzić pod wiatr i czuć jak on unosi nam włosy. Podobnie szybka jazda sprawia dziwną jakoś rozkosz, wrażenie tak żywe, iż nic innego nie zdoła wywołać podobnego.

— Słowa twoje dowodzą, że lubiłabyś to co ci dziś jest niedozwolonem.

— Nie przeczę.

— Do współki z panem Benedyktem?

— Dla czegóż z panem Benedyktem?

— Bo jest przyjemniejszym od innych.

— Tego nie powiem.

— Doprawdy? Więc gdybyś miała wybierać męża z pośród znajomych ci mężczyzn, czy wybór twój nie padłby na pana Benedykta?

— Nawet by mi to w myśli nie postało.

— Posłuchaj siostrzyczko; wiesz że jestem człowiek pozytywny, lubiący zdawać sobie sprawę ze wszystkiego. Otóż wytłomacz mi jak to być może aby nie podobał ci się człowiek młody, ładny, bogaty, ozdobiony pięknemi talentami, odważny rycerski, a nadto posiadający wiele tych właśnie przymiotów i wad, które stanowią grunt twego charakteru?

— Nie umiem odpowiedzieć na to; nie rozbieram i nie badam powodu moich uczuć, dość że do jednych czuję pociąg, od drugich mnie coś odpycha, inni nareszcie są mi zupełnie obojętni.

— Spodziewam się, że nie zaliczasz pana Benedykta do kategoryi odpychających?

— Nie, zaliczam go do rzędu obojętnych.

— Ale dlaczegóż jest ci obojętnym.

— Pan Benedykt jest średniego wzrostu, ja lubię mężczyzn wysokich; jest blondyn, ja lubię brunetów; jest żartobliwy i wesoły, ja lubię poważnych, a potem ma awanturnicze usposobienie, latałby wiecznie z jednego na drugi koniec świata — wszę-

dzie byłoby go pełno, ale za to żona zaledwie by go widywała.

— Niechże się dowiem jakim ma być ten ktoby ci się podobał.

— Zupełnie innym jak pan Benedykt.

— A więc wysokiego wzrostu?

— Tak.

— Brunet?

— Tak, lub co najmniej ciemny szatyn.

— Poważny?

— Koniecznie; a przytem odważny, wierny, zamiłowany w życiu domowem.

— Ależ to portret jak dwie krople wody podobny do przyjaciela mego, kapitana Karola von Freyberg.

Twarzyczka Heleny mocnym pokryła się rumieńcem; podniosła się prędko chcąc wyjść. Fryderyk przytrzymał ją zdrową ręką, zmuszając aby napowrót zajęła swoje miejsce, poczem bystro spojrzał jej w oczy.

— No, jakże siostrzyczko? rzekł z uśmiechem.

— A więc tak, wyszeptała, ale nikt o tem nie wie...

— Czy i on nawet?

— On może się cokolwiek domyśla, rzekła spuszczając oczy.

— Kiedy tak, droga Heleno, to bądź dobrej myśli — pomówimy jeszcze o tem.

— Ale jak się to dzieje, zawołała żywo Helena, że choć ci nic nie mówię, ty zawsze dowiesz się co chcesz wiedzieć?

— Bo dopokąd kryształ jest czysty, wszystko przez niego wyczytać można. Siostrzyczko droga, Karol von Freyberg jest moim przyjacielem, posiada wszelkie przymioty jakie pragnąłbym znaleźć w moim szwagrze i jakich ty możesz wymagać od męża — jeżli więc odpłaca ci się wzajemną miłością, zdaje mi się iż nic nie sprzeciwia się temu żebyś została jego żoną.

— Ah! drogi Fryderyku, rzekła potrząsając śliczną główką, pewna Francuzka mówiła mi nieraz, że podobno takie małżeństwa którym żadne trudności nie stają na przeszkodzie, nigdy prawie się nie kojarzą.

I uścisnąwszy dłoń szwagra, Helena powróciła do swego pokoju, aby rozmyślać jakie los mógłby nasunąć przeszkody uniemożliwiające jej związek małżeński z Karolem von Freyberg.

(D. c. n.)

WYSTAWA W PAŁACU BRÜHLOWSKIM.

(Dalszy ciąg.)

Z zajęciem przyglądaliśmy się wyrobom więźni wystawionym: 1) przez „Warszawski dom badań": szafkę do bielizny, obuwie męzkie i damskie śpilkowe i szyte, oraz cholewki do obuwia, a z wyrobów rękodzielniczych: kapa bawełniana, chusteczka włóczkowa, pudełko drewniane, pudełko ubierane słomą i krzyż z drzewa. 2) „Więzienie główne karne w Warszawie": Sztuka drelichu, sztuka ćwilichu w paski i sztuka ręczników z nici konopnych, meble gięte i dwie książki oprawne. 3) „Oddział czasowy głównego domu kary w Warszawie": parę sztuk siedzeń do krzeseł giętych, obuwie męzkie i damskie śpilkowe i szyte, kamasze rozmaite, cholewki damskie i męzkie. Te trzy przybytki nędzy moralnej przedstawiły wyroby wykonane rękami przestępców, mężczyzn i kobiet, tak będących pod śledztwem, jakoteż odsiadujących wymierzoną karę. Najdawniej zastosowanem zajęciem w więzieniach naszych było tkactwo (1835 r.); lecz płaca za robotę była tak nizka, że na jednego więźnia na cały rok wypadało zaledwie rs. 1 kop. 42. W r. 1859 podwyższono płacę do 3 kop. za wyrobienie jednego motka. Z powodu natłoku więźni, znajdowała się ciągle znaczna liczba chorych — mało więc ich pracować mogło; zaprowadzone w ostatnich czasach środki sanitarno-dezynfekcyjne wpłynęły zbawiennie na zdrowie więźni, i obecnie 136 pracuje w warsztatach tkackich. Aresztanci pobierają od rządu za pracę swoją po pół kopiejki za arszyn tkaniny i po 2 kopiejki za motek przędzy, zawierający 20 pasem po 40 nitek. Pracowity więzień jest w stanie co najwięcej wyrobić sześć motków tygodniowo, co przyniesie mu 18 kop. na tydzień, czyli 9 rs. 36 kop. rocznie; mniej pracowity i zdolny, nie wyrabiający jak 1 motek na tydzień, przez cały rok zarobi zaledwie rs. 1 kop. 56. Tak nizka płaca odstręcza więźniów od przymusowej pracy i jest głównym prawie powodem upadku warsztatów tkackich w więzieniach. Z tego powodu podobno rząd gubernialny przedstawił ministeryum projekt podwyższenia dziennego zarobnego więźni, przynajmniej do 15 kop. Od r. 1878 zaprowadzono w Domu kary wyrabianie mebli giętych, i w tym celu zawarto układ z przedstawicielem fabryki „Wojciechów". Szewctwo wprowadzone zostało do więzień w r. 1879, i coraz więcej się rozwija. Małoletni przestępcy, obok zwykłej nauki szkolnej, uczą się także krawiectwa, szewctwa i introligatorstwa, o ile więzienie posiada odpowiednich rzemieślników. Więźniom pracującym w oddziale szewctwa płacą od sztuki; oprócz tego wykonywający robotę dokładnie i starannie, wynagradzany bywa przez odpowiednie *premia*. Niedawno zaprowadzone w Domu Badań stolarstwo, posługuje się 10 warsztatami, i więźniowie wyrobili już znaczną liczbę szaf, komód, łóżek i stołów. Wyroby rękodzielnicze są niestałe i nie dadzą się określić ściślej, zawsze jednak znajduje się w więzieniach pewna liczba osób, których uzdolnienie w tym kierunku daje się pożytecznie zużytkować. Zarząd więzienny stara się usilnie, aby w miarę ustalenia się rzemiosł, dać możność zarobkowania wszystkim więźniom. Szczęść Boże na tej zbawiennej drodze; niech więźniowie coraz więcej wkładają się do pracy, bo ona najskuteczniej wpłynąć może na podniesienie i umoralnienie ludzi zepsutych i zbłąkanych.

Z kolei przechodzimy do witryny obejmującej wyroby bursztynowe braci Bernsteinów z Ostrołęki. Fabryka ta istnieje od r. 1798, zatrudnia 4 robotników obrabiających bursztyn czerpany z powiatów: Ostrołęckiego, Łomżyńskiego i Makowskiego; wyrabia wszelkie przedmioty mogące być wykonane z bursztynu. Wyroby odznaczają się gustem i doskonałem wykończeniem; równie piękne widzieliśmy tylko w Gdańsku. Kto nie widział podobnych wyrobów z bursztynu, nie może mieć pojęcia o ich piękności. Wyroby te po raz pierwszy przedstawione są u nas. Mamy tu artystycznie wykończone kolie, kolczyki i medalion z białego nieprzezroczystego bursztynu, który jak wiadomo jest najdroższym, cena 50 rs. Drugi garnitur: kolie, kolczyki, medalion, przezroczyste, z wyrobem białym—40 rs. Garnitury, kolczyki i brosze najtańsze 5 do 6 rs., inne 8, 10, 15 do 25 rs. Medaliony po 2 rs. Dalej mamy tu cygarniczki i inne wyroby, jakoteż okazy surowego bursztynu z uwięzionemi w nich na wieki owadami. Fabryka przeważnie za granicę wyseła wyroby swoje; zdaje nam się, iż gdyby skład ich urządzono w Warszawie, niezawodnie licznych znalazłyby nabywców. Fabryka posiada kilka medali przyznanych jej w Petersburgu, Moskwie, we Lwowie, w Wiedniu, w Paryżu i w Filadelfii.

Pan Weinkrantz przedstawił liczny zbiór herbów, monogramów i pieczątek artystycznie wykonanych, oraz zbiór bardzo eleganckich różnorodnych papierów listowych, kopert i pieczątek. Monogramy od skromnych do wielkich emaliowanych i nabijanych złotem, mogą zadowolnić najwybredniejsze gusta, a herby grawirowane mistrzowsko. Ceny wogóle przystępne. Pięknie odbitych 100 biletów wizytowych z herbem 1 rs. 50 kop. Jest tu także herb ofiarowany J. I. Kraszewskiemu w dzień jubileuszu.

Sala I. Tu możemy przypatrzeć się prześlicznym kwiatom, których okazy przekonywają, iż najwykwintniejsze elegantki mogą się niemi zadowolnić, nie szukając zagranicznych. Cztery firmy przedstawiły tu swoje wyroby: p. Edward Loth, panie: Fijałkowska, Baranowska, Daniłowska. Fabryka p. Loth istnieje już lat 80, zatrudnia około 100 pracowników i pracownic. Materyały surowe, jak plecionka słomkowa, w części sprowadza z zagranicy, w części do przybrania z Rossyi (aksamit i czarne materye) a w części wyrabia kapelusze słomkowe z miejscowej słomki wyplatanej przez włościan naszych i przez wychowańców Osad Rolnych. Obrót roczny 60,000 rs. P. L. nie wystawił kwiatów swoich w pojedynczych okazach, ale zebrane w jedną całość, w bukiet stojący w wazonie, jakby na wzgórzu ze szmaragdowej murawy u stóp której pomieszczono zwierciadło, w którem przeglądają i odbijają kwiaty i rośliny wodne. Urządzenie to odznacza się wielkim gustem i mile nęci oko. Kwiaty tej firmy już oddawna cieszą się zasłużonem uznaniem. Obok kwiatów stoi szafka z kapeluszami słomkowemi wyrobu tejże fabryki, przedstawiają się pokaźnie, ale o wartości wyrokować trudno, skoro na żadnym nie mogliśmy dopatrzyć ceny.

Przy drugiej zaraz ścianie wystawione są kwiaty p. Fijałkowskiej; widzimy tu między innemi śliczne dwa koszyki kwiatów przekładanych liśćmi, brak im tylko zapachu, tak doskonale naśladują naturę. Dalej róże wykończone artystycznie; tak modne dziś kwiaty i girlandy dżetowe; owoce, wazony kwiatów i t. d. Farba i cieniowanie liści bardzo dokładne. Tuż obok duży wybór kwiatów pani Baranowskiej; liście szczególniej odznaczają się doskonałem wykończeniem, to też posilkuje się niemi wiele innych fabryk. Śliczny także wybór kwiatów wystawiła pani Daniłowska, która na wystawie w Warszawie w 1876 r. odznaczona została dyplomem złotego medalu.

(D. n.)

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta". — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg).

Pomiędzy powieściami które ukazały się ostatniemi czasy w łamach pism peryodycznych, zwró-

ciła powszechnie uwagę *Pod skrzydłami Almae Matris* bezimiennego autora drukowana w Kłosach.

Powieść ta pisana w formie listów, z kilku względów wychodzi po za powszednie warunki. Naprzód jest to pierwsze dzieło wiele obiecującego talentu, powtóre dotyka zagadnień ważnych i dziś szczególniej będących na czasie, a wreszcie jest to rzadki u nas objaw literackiej walki na powieściowem polu. Gdyż tę wiązankę listów medecynierki można uważać za odpowiedź na powieść Jeża, drukowaną przed dwoma laty w odcinku „Nowin" pod tytułem *Pod szlachecką strzechą*.

Dwie te powieści niezmiernie odrębne pod względem myśli przewodniej i wykonania, mają jednak główną cechę wspólną: tyczą się wyższego uniwersyteckiego wychowania kobiety, obie przytem wyszły z pod pióra autorów osiadłych w Szwajcaryı, a więc malują nasze stosunki społeczne nie koniecznie takiemi jakiemi są rzeczywiście, ponieważ stosunki te zmieniają się niemal z każdą ubiegającą chwilą. W powieściach tych zaś występują one takiemi jakiemi przedstawiają się rozmaitym umysłom. Z tą jednak ważną różnicą, że bezimienny autor dotknął kraju tylko mimochodem, a za wdownię swojej akcyi obrał Zurych i jego koła studentów i studentek, w czasie gdy Jeż główne dzieje powieści umieścił w Polsce, na zakończenie ich tylko dwie bohaterki swoje zawiódł do Szwajcaryi i tam z wielką łatwością obdarzył je patentami doktorów medycyny pomimo iż w kraju żadnego naukowego uzdolnienia nie odebrały, któreby im naukę uniwersytecką uczyniło dostępną.

Już z tej wzmianki widzimy że osią obu powieści jest lekarskie uzdolnienie kobiet; Jeż jednak zajmował się głównie powodami które je do tego skłaniają, w czasie gdy bezimienny autor lekko tylko naszkicował powody, a główny nacisk położył na samo przedsięwzięcie naukowe które sądząc wedle powieści Jeża do najłatwiejszych należy, i wystąpił przeciw tej mniemanej łatwości.

Powieści Jeża rozbierać nie myślę; naprzód iż jest to rzecz dawno przebrzmiała, powtóre fantazyjny sposób traktowania rzeczywistości, jakim się ten autor odznacza, ile razy chodzi o obecne krajowe stosunki, najzupełniej uwalnia sprawozdawcę od podobnej pracy. Jeźli wspominam więc tę powieść, to jedynie z powodu następstw, jakie wywołała pobudzając bezimiennego autora do odpowiedzi.

Ma się rozumiéć powieść jego jest tendencyjną, a zatem zawsze z pewną ostrożnością czytać ją należy.

Tendencyjność jednak nie odbiera wartości utworowi, skoro tylko ten oparty jest na wiernem odwzorowaniu faktów i na psychologicznej prawdzie: tych pierwszorzędnych zalet nie podobna odmówić „Pod skrzydłami alma matris."

Z całej powieści, a szczególniej z jej zakończenia, widać że autor nie jest zwolennikiem studyów medycznych dla kobiet, jak znowu Jeż sprzyja im z całego serca: ponieważ jednak dla utrzymania swej tendencyi nie przeinacza faktów i zadawalnia się obrazami widocznie branemi z natury, gdy tymczasem Jeż swoją przeprowadza zupełnie fantazyjnie, bezimienny zatem autor nie zatraca głównych powieściowych zalet. Wprawdzie nieco więcej objektywizmu podniosłoby o wiele wartość wiązanki listów, a nawet pomogło do przekonania czytelnika, który zawsze ma słuszne niedowierzanie do tendencyjnych utworów, przecież wada ta, którą zresztą wielu za wadę nie uważa, nie osłabia doniosłości powieści której prosta treść tak zajmująco i prawdopodobnie jest opracowana.

Rzecz dzieje się w Zurychu gdzie podwoje uniwersytetu otworzyły się szeroko kobietom, więc choćby z tego tylko powodu Zurych pozostanie mitycznem miastem w którem dramata osnute na umysłowym rozwoju kobiety rozgrywać się będą.

Że dramata podobne miejsce miéć prawdopodobnie muszą, temu dziwić się może ten tylko co nie umie lub nie chce liczyć się z rzeczywistością: w takim tylko razie nauka medycyny może wydawać się tak łatwą gdy panna niczem do niej nie przygotowana ani pod względem umysłowym ani obyczajowym, może po kilku latach powrócić do rodzinnej wioski z dyplomem doktorskim w kieszeni tak to ma miejsce w powieści „Pod szlachecką strzechą".

Fakta podobne zdarzają się jednak, ale w obecnym ustroju społecznym do nadzwyczajnych zaliczyć je musimy. Kobieta może skończyć medycynę, uzyskać dyplom i być bardzo użyteczną w swoim zawodzie, ale kobieta taka nie może być pierwszą lepszą: trudności zadania wymagają bowiem jeźli nie już wyjątkowych zdolności to stosownego przygotowania naukowego, a nadewszystko wyjątkowej wytrwałości, taktu i charakteru oraz umiejętności wychodzenia z ludźmi, której kobieta nabyć nie może w rodzicielskim domu. To też słusznie bardzo bezimienny autor zamiast fantazyjnie zakończyć powieść dyplomem doktorskim, właśnie bierze zdobycie tego dyplomu za motyw samejże dramatycznej akcyi.

Akcya ta jest tak pełna prostoty i tak naturalna że nikt o jej możliwości powątpiewać nie może, szczególniej też bohaterka Zofia tak jest wzięta z życia, iż można sprzeczać się z autorami iż taką wybrał reprezentantkę naukowości niewieściej, ale nie podobna zaprzeczyć jej prawa bytu a nadto można przysiądz że takiej ładnej, rozpieszczonej, nieznającej świata Zosi, zdarzą się wszystkie bez wyjątku wypadki jakie mają miejsce w powieści.

Panna Zofia jedynaczka, samowolna jak zwykle jedynaczki, ładna, bogata, otoczona rojem wielbicieli, nie chciała poprzestać na powszechnej niewieściej doli, zabawy ją nudziły, wielbiciele nie zyskali wzajemności, gdyż panna Zofia umyśliła właśnie zrobić coś nadzwyczajnego. Więc wyegzaltowana doktrynami emancypacyi, chciała wywalczyć sobie niezależne stanowisko za pomocą próśb, łez i kaprysów, tej zwykłej broni jedynaczek, i zmusza rodziców nawykłych do pełnienia jej woli, do zezwolenia na naukę medycyny w Zurychu dokąd ją matka odwozi.

Być może iż bezimienny autor znał taką rozpieszczoną jedynaczkę i mówi o tem co miał przed oczyma, za indywidualne wypadki nikt ręczyć nie może, to pewne jednak że kontyngens kobiet szukających w naszem społeczeństwie samoistnych dróg, nie rekrutuje się zwykle między istotami obdarzonemi w ten sposób wszelkiemi darami losu, ale przeciwnie dostarczają go zwykle te których dola jest ciężka i przyszłość niejasna.

Trzeba także przyznać że chociaż jedynacki umieją zwykle narzucać swoją wolę rodzicom, to przecież mało jest takich którzyby zadość uczynili życzeniom podobnym. Przynajmniej matka taka jaką Zofia opisuje, nie zostawiłaby córki samej w Zurychu za nic w świecie, zwłaszcza gdy usposobienie tej córki nie dawało żadnej rękojmi że potrafi sobie poradzić w tych nowych dla siebie warunkach.

Wprawdzie zostaje ona poniekąd pod moralną opieką pani B., znajomej i przyjaciółki matki, ta jednak z włożonego na siebie obowiązku wywiązuje się jak najgorzej, bo naprzód wcale nad postępowaniem Zofii nie czuwa a następnie dostrzegłszy czuły stosunek z asystentem chemii Mondenbergiem, wypędza ją od siebie nie przekonawszy się o stopniu winy w sposób niemacierzyński i wcale nieoględny, a mogący właśnie z jej charakterem sprowadzić najgorsze następstwa.

Zofia w Zurychu zmieniła zupełnie swoje usposobienie względem młodzieży i fakt ten psychicznie łatwym jest do wytłomaczenia. W domu bowiem chciało się jej Zurychu jak zepsutemu dziecku zabawki, której odmawiają, i w obec tej zachcianki wszystko inne szło na bok. Teraz zaś gdy dostała czego pragnęła, powróciło zwykłe usposobienie niewieście. Zofia chce się podobać gdyż jest przedewszystkiem próżną; oto główny motyw jej postępków sprzecznych z pozoru. Jak więc w domu nie chciała patrzéć na młodych ludzi którzy się do niej zalecali, bo tym sposobem stawiała się na odrębnem stanowisku, i widziała w nich reprezentantów zwykłej doli którą pogardziła, tak tutaj chętnie zwraca na siebie oczy towarzyszów nauki, a nawet ma sobie niejako za punkt honoru dowieść im, że nauka nie jest u niej ostatecznością, której się chwyta w braku innego życiowego zajęcia, ale stanowi istotne powołanie, gdyż na innem polu znalazłaby łatwe tryumfy.

Rys ten wybornie maluje charakter bohaterki, dopełnia go, zaokrągla i jednocześnie staje się zapowiedzią przyszłych jej losów. Widocznie więcej myśli ona o sobie niż o swojem mniemanem powołaniu, o wrażeniu jakie uczyni więcej niż o nauce.

Ztąd płynie większa część przykrości jakich doświadcza, jakkolwiek wiele z nich nieodłącznych jest od nauki najczęściej niezastosowanej do umysłowego poziomu, drażliwej z powodu idei ogólnie panujących i postawionej w szczególnie trudnych warunkach, skoro mała stosunkowo liczba studentek i to często niewzbudzających szacunku swojem postępowaniem, postawiona jest wobec przeważnego tłumu mężkiej młodzieży, która nie ma ani przywyknienia woli krępowania się w czemkolwiek dla koleżanek, a przeciwnie te koleżanki traktują jako intruzów. Są to trudności ogólne, pochodzące z przyczyn daleko głębszych niż osobiste sympatye i niechęci, mają swoje źródło we wszystkich społecznych zagadnieniach, dziwić się więc niemożna jeźli wywołują starcia.

Oprócz tych jeszcze istnieją inne, zbyt łatwe do odgadnienia by się nad niemi rozwodzić.

Ktokolwiek jednak widział zblizka młodzież uniwersytecką na wykładach, a zwłaszcza na wykładach medycyny, zrozumie praktyczną trudność zachowania się pomiędzy nią dla kobiety.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Dnia 14 b. m. otwartą została wystawa dzieł sztuki zastosowanej do rzemiosł, i z zadowolnieniem przyznać trzeba, że przedstawia się świetnie. U nas zwłaszcza, w braku muzeum archeologicznego, wystawa taka może wywrzéć nader dodatni wpływ na naukę i rzemiosła nasze. Pomimo olbrzymich w tem stuleciu postępów w dziedzinie wiedzy, odkryć i wynalazków, które zastosowane do przemysłu i rękodzieł popchnęły je na nowe tory rozwoju, jednakże coraz więcej

rozpowszechnia się przekonanie, że w pracy bieżącej można często z wielką korzyścią powoływać się na starożytne wzory i zdobycze. To też wiele tegoczesnych prac i wyrobów opiera się na ich naśladownictwie, i słusznie, bo wieki ubiegłe świetną przekazały nam spuściznę, pod każdym względem godną choć naśladownictwa, bo odtworzyć wielu wyrobów dziś już nie umieją. Dawne wieki potrafiły łączyć doskonałość i trwałość wyrobów rzemieślniczych z warunkami artystycznemi, odpowiadającemi stylowi odnośnej epoki, i dlategoto w kierunku techniki, pomysłów i wykończenia stare zabytki przedstawiają doskonałe wzory. Z tego też tytułu zgromadzone na wystawie przedmioty nie mogą pozostać bez korzystnego wpływu na tegoczesne wyroby rękodzielnicze, a tem samem odpowiedzieć celowi w jakim wystawa urządzona została.

Jakże to silnie przywodzą nam na pamięć przeszłość te starożytne gobeliny, makaty, zbroje i oręże, które już dziś mało kto dźwigać nawet potrafi! Jeden salon zawiera zabytki wyłącznie sztuki polskiej; w drugim urządzono zbrojownię; w innych widzimy ubiory i naczynia kościelne, porcelanę, majoliki, meble przypominające przepych Wschodu pasy i drogocenne tkaniny. W czterech salonach mieszczą się okazy nowoczesne, rozmieszczone także i na schodach wiodących na wystawę. Na dole urządzona jest wystawa maszyn.

W następnych numerach naszego pisma podamy obszerniejszy opis nieocenionych zabytków archeologii i sztuki, zgromadzonych na wystawie w pałacu Brühlowskim, które, kto tylko ma sposobność, powinien widzieć, korzystając z tak rzadko zdarzającej się sposobności oglądania bogatych zabytków naszej przeszłości.

+ Najnowszy utwór 80-letniego Wiktora Hugo p. n. *Les quatre vents de l'esprit* wyszedł z druku w Paryżu. Składa się z dwóch tomów, obejmujących 42 arkuszy, i dzieli się na cztery księgi: epiczną, liryczną, dramatyczną i satyryczną, które jednak w układzie dzieła następują po sobie w odwrotnym porządku. W księdze satyrycznej polityka niewiele zajmuje miejsca; satyry są przeważnie ogólniejszego charakteru. Księga dramatyczna, zawiera komedyę jednoaktową i dramat trzechaktowy, których wspólnym bohaterem jest Gallus, książe Szwabii, a bohaterkami dwie jego kochanki. Rzecz dzieje się w ubiegłem stuleciu. Księgę epiczną, zawierającą poemat o rewolucyi francuzkiej, napisał Wiktor Hugo jeszcze w Guernesey, w 1857 r. O księdze lirycznej nie wspomniały jeszcze dzienniki francuzkie, a dzieła samego jeszcze nie posiadamy. Sprawozdawcy pism francuzkich wielkie oddają pochwały temu utworowi sędziwego wieszcza, podziwiając wszechstronność jego talentu.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z kaszmiru i materyi surah cieniowanej. Przód sukni od góry przysłonięty draperyą, w dolnej połowie zagarnirowany naprzemian falbankami plisowanemi kaszmirowemi i z materyi cieniowanej, składanemi w kontrafałdy, ciętemi tak aby całe cieniowanie jednostajnie było widoczne. Przy staniku kaszmirowym fałdowanie chusteczkowe i plastron przemarszczony z materyi surah. Kapotka z przybraniem bayadere i tiulu cieniowanego i z dyademem z kwiatów.

Ubranie spacerowe. Suknia z satynki gładkiej z tuniką i chusteczką z satynki jasnej deseniowej, garnirowanemi koronką. Kapelusz słomkowy, zdobny piórami i opasaniem z materyi. (468)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu D-wi Rudolfowi R. w Mohylowie Podolskim. Z przyczyn od nas niezależnych podaliśmy utwór pod zmienionym tytułem i w znacznem skróceniu, przez co być może, że zmienił pierwotną barwę i stracił na jasności, ale to właściwej ujmy wartości jego nie przyniosło.

Panu S. we Friedebergu na Szlązku. Uwaga słuszna, pomyłka wynikła z nieuwagi ale rzecz sama niezmiernie małej wagi. Dziełko p. t. „Królowie polscy", podług rysunku Tytusa Maleszewskiego, wydane zostało w Warszawie, w oprawie ozdobnej, którą szkoda byłoby zdzierać dla zmniejszenia kosztów przesyłki.

Panu A. W. w Warszawie. Wiersz p. t. Ostatni akord, nie odpowiada warunkom poezyi.

Zawiadomienia.

Malarnia znana pod mojem nazwiskiem, wobec zgłaszających się w coraz większej liczbie pracownic wykształconych w rysunku i zwiększającego się zakresu działania, przybrała nazwę

„ZAKŁADU ŚWIĘTEGO ŁUKASZA",

którego przewodnictwo i kierunek pozostanie nadal w mojem ręku.

Wprowadzona w zakładzie organizacya pracownic, rozdział na odpowiednie wydziały, postawi zakład w możności wykonania dokładniej i pośpieszniej prac jakie publiczność powierzyć mu raczy a następnie w miarę przybywania takowych grono pracownic zwiększać się będzie.

Dążeniem *Zakładu Ś-go Łukasza* będzie objąć wszelkie prace w zakres malarstwa wchodzące a mianowicie:

a. Malowania olejno obrazów kościelnych, chorągwi, antepediów, feretronów, portretów i wszelkich kopij obrazów.

b. Ornamentacyi wyrobów przemysłowych, jako to: malowania na skórze, płótnie, aksamicie i innych materyałach, pugilaresów, tek, cygarniczek, wachlarzy, pokryć na meble, monogramów na listach i kopertach, kolorowania litografii, malowania wyrobów z białego drzewa jako: stoliczków, szkatułek, patarafek. Dział ten mogący szerokiemu uledz zastosowaniu, rozwijany będzie w miarę sił jakiemi zakład będzie mógł rozporządzać.

c. Malowania na porcelanie podług metody francuzkiej przewyższającej pod względem efektu i dobrego smaku metodę niemiecką; malowania serwisów stołowych z monogramami lub herbami; dorabiania stłuczonych przedmiotów; wykonywania z fotografii portretów na nadgrobki. Ozdabiania kafelków na ściany do łazienek i sieni.

d. Malowania na szkle w ogniu wypalonem okien do kościołów i prywatnych mieszkań. Dział ten a mianowicie ozdoby oknami kolorowanemi kościołów, który na wzór prac w wiekach średnich wykonywanych, na całym zachodzie Europy doszedł w naszych czasach do tak znakomitego rozwoju, jest u nas jeszcze bardzo zaniedbany. *Zakład Ś-go Łukasza* jest jedyny w kraju który posiada specyalnie wykształcone w tym kierunku pracownice i techniczną część budowy okien zbadał dokładnie.

Zakład Ś-go Łukasza uważać będzie za miły obowiązek udzielać bezpłatnie publiczności wszelkich objaśnień w zakresie prac swoich.

Warszawa dnia 5 Stycznia 1881 roku.

Marya Hr. Łubieńska.

KRÓLOWIE POLSCY, wydanie dla młodzieży, podług rysunków Tytusa Maleszewskiego, w ozdobnie oprawnej książeczce, zawierającej 43 portrety litografowane z tekstem objaśniającym ważniejsze daty i wypadki historyczne, po cenie rs. 2 kop. 50; dla prenumeratorów Tygodnika Mód lub Przyjaciela Dzieci mogą być przesłane franco, za nadesłaniem powyższej kwoty do Administracyi Tygodnika Mód, ulica Chmielna Nr. 20.

KAZIO, powieść dla młodzieży, przez Waleryą Marrené, do nabycia w redakcyi Przyjaciela Dzieci, oraz we wszystkich księgarniach, cena kop. 35.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Od Redakcyi.

W kwartale trzecim r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Iюня 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 26 r. 1881.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg).

Gwido wykonał sumiennie pierwszą część swego programu, i zaczynał już wchodzić na urnę, gdy zatrzymał się nagle z wyrazem zniechęcenia. Rzucił na trawę swoją lancę i zawołał przybiegając do siostry:

— Czy zapomniałaś Renato, że w legendzie Iwony była księżniczka bardzo piękna i bardzo pięknie ubrana, której rycerz przynosił wszystkie swoje wojenne zdobycze: sztandary wrogów, głowy olbrzymów, półksiężyce niewieraych. Komuż oddam gałązkę tej rośliny, którą zamierzam urwać? Nie ma tu żadnej księżniczki!

— Jeżeli chcesz, to ja będę księżniczką, odpowiedziała Renata z miłym uśmiechem.

— Ty?... O! nie. Jesteś zbyt trwożliwa i łagodna; możesz byc śliczną zakonniczką, nawet świętą, ale nigdy księżniczką. Księżniczka powinna mieć ruchy majestatyczne, spojrzenie dumne, nosić suknie z kosztownych materyj lub aksamitu, a ty ubrałaś się w taką prostą białą sukienkę.

— Masz słuszność, odpowiedziała Renata łagodnie, ale w takim razie musimy się bawić bez księżniczki... A! wszakże moja duża lalka ma suknię z niebieskiego atłasu, pokrytą koronkami, a na głowie dyadem z pereł, może ona mogłaby przedstawiać księżniczkę? Miałaby przynajmniej stosowne ubranie.

— E! co też ty mówisz, siostrzyczko, odpowiedział pogardliwie chłopczyk; na cóż mi się lalka dać może? Czy wyciągnie do mnie rękę aby odebrać gałązkę? czy mnie podniesie z miłym uśmiechem skoro przed nią uklęknę? czy przemówi do mnie pełnym słodyczy głosem: „Gwidonie de Plouernel, uznaję że jesteś godnym nosić moje barwy, i nazywać się moim rycerzem". Nie, nie, Renato, trzebaby nam koniecznie drugiej małej dziewczynki, kogoś takiego coby mógł chodzić, siadać, uśmiechać się i mówić... Czemu też to ojciec nie zaprosi moich znajomych z Luksemburgskiego ogrodu i twoich przyjaciółek?

— Mój drogi Gwidonie, odpowiedziała Renata, człowiek tak zajęty i poważny jak ojciec, nie może myśleć o naszych zabawach. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby matka nasza żyła jeszcze... ale straciliśmy ją, i dla tego też jestem często tak smutna i zamyślona; a gdy jak przed chwilą, patrzę na to śliczne niebo, tak jaśniejące złotem i purpurą jak gdyby otwierało się przed memi oczyma, wtenczas zadaję sóbie pytanie, czy ono otwiera się także przed wzrokiem naszej matki, czy ona nas widzi i uśmiecha się do nas. O! jestem pewna że w takim razie musi być bardzo szczęśliwa!

Gwido miał dobre serce, umilkł też na chwilę, spuścił oczy i westchnął. Wkrótce jednak podniósł głowę i zawołał:

— Ha! dorosnę przecie kiedyś, a wtenczas nie będę się już nudził... Ojciec mi kupi konia, i będę z nim jeździł do Lasku, do klubu, na wyścigi...

Niestety! w tej właśnie chwili schodziła z tarasu pani Bouchard, drżąca, zapłakana. Pomimo, że usiłowała ukryć swe przerażenie, dzieci poznały natychmiast że przynosi złe wieści.

— Mój Boże! co się to stało? zawołała Renata, biegnąc do niej.

— Po co też pani Bouchard przychodzi tu z taką miną jakby nas przestraszyć chciała? odezwał się Gwido, który pomimo to zbladł także.

— Moja biedna, kochana panienko, odpowiedziała pani Bouchard, jakby nie słyszała słów Gwidona, którego daleko mniej kochała, spotkało was... o! mój Boże... wielkie nieszczęście.

— Babunia umarła? zawołała drżąca Renata, która pomimo oddalenia kochała bardzo swą babkę.

— Nie, babunia żyje... ale dziś na wyścigach... pan margrabia... raniony... bardzo niebezpiecznie raniony.

Bladość śmiertelna pokryła twarzyczki dzieci.

— Gdzie ojciec?... ja chcę go widzieć... zawołał nakoniec Gwido, usiłując przezwyciężyć boleść i ogarniające go przerażenie.

— Pomódlmy się braciszku... aby odzyskał zdrowie, wyszeptała Renata, blada jak posąg z białego marmuru.

Drżąc i chwiejąc się na nogach, zwróciła się w tę stronę w której zachodzące słońce pozostawiło jedną już tylko smugę złota, jeden obłoczek różowy. Stała tak nieruchoma ze złożonemi rękami, z błyszczącemi oczyma, a blade jej usta poruszało lekkie drganie; i w tenczas właśnie gdy się modliła, zniknął różowy obłoczek a wraz z nim złota smuga, i dziewczynka nie widziała już nic prócz zasłoniętego szybko nadciągającemi chmurami nieba, na którem teraz błyszczała już tylko jedna mała gwiazdeczka.

— Zdaję mi się że Bóg nie zechce nas wysłuchać.... Może ojciec... już... nie żyje? wyszeptała zaledwie dosłyszanym głosem, zwracając się do pani Bouchard.

Ręce jej opadły, spuściła głowę, z piersi jej wydobyło się ciężkie westchnienie; podobne do jęku pani Bouchard pochwyciła ją na ręce w chwili gdy padała na ziemię z zamkniętemi oczyma z twarzą śmiertelnie bladą.

Gwido przerażony pobiegł do domu, wołając:

— Gdzie jest mój ojciec?... Zaprowadźcie mnie do niego!... Chcę... chcę koniecznie zobaczyć ojca!

. . . .

W parę dni później, biedne dzieci siedziały już w grubej żałobie, smutne i zapłakane, w ślicznym pokoiku Renaty, gdy powóz jakiś wjechał na dziedziniec. Dziewczynka przybiegła prędko do brata i rzekła z czułością, ocierając chusteczką łzy płynące z jego oczu:

— Staraj się powstrzymać od płaczu, mój drogi braciszku. Zdaję mi się, że babunia przyjechała... Nie powiększajmy jej boleści widokiem naszego cierpienia.

Gwido uśmiechnął się smutnie, wstał, zbliżyli się do drzwi trzymając się za ręce, i zaczęli przysłuchiwać się czy kto nie wchodzi na schody.

Tak, to babka musiała przyjechać, bo usłyszeli łkanie, skrzypnięcie otwierających się drzwi, a następnie szybkie kroki w korytarzu. Nieszczęśliwa matka chciała przedewszystkiem pożegnać jedynego syna, który czekał na nią leżąc na katafalku, sztywny zimny i blady. Bóg tylko może wiedzieć co się działo w zbolałem sercu matki klęczącej przy trumnie syna, ale stara margrabina de Plouernel była prawdziwą i mężną chrześcianką, umiejącą się zgadzać z wolą Bożą. Długo płakała i długo się modliła, potem wstała, złożyła gorący macierzyński pocałunek na tej martwej, lodowatej twarzy, którą wieko trumny już na zawsze przed nią zasłonić miało, i wyszła zanosząc się od płaczu, zaledwie zdolna utrzymać się na nogach.

— Pozostaje mi jeszcze jeden obowiązek do spełnienia, szepnęła wchodząc na schody; pójdę uściskać i pocieszyć te nieszczęśliwe sieroty, nie mające już ojca i matki.

Wkrótce dzieci usłyszały, że ktoś zbliża się do drzwi, a po chwili ujrzały babkę, poważną, smutną, ale spoglądającą na nie z najżywszą czułością. Wtenczas Renata, która tak niedawno zachęcała braciszka aby starał się być mężnym, rzuciła się z głośnym płaczem w objęcia babki.

— Ah! zawołała, i ty także cierpisz i płaczesz, droga, biedna babuniu!

Margrabina odpowiedziała jej tylko łkaniem i gorącym pocałunkiem. Przycisnęła do serca te dwie główki dziecęce, pochylające się już tak wcześnie pod ciężarem nieszczęścia. Łzy jej spływały na ich czoła, a pomarszczona ręka ściskała ich drżące ręczęta. Wtenczas Renata rzekła do niej swym pełnym słodyczy głosem:

— Teraz, babuniu, będę się starała kochać cię jeszcze więcej... Za siebie... i za tych, którzy nas już opuścili.

Gwido słysząc te słowa siostry, odezwał się podnosząc głowę:

— Babuniu, jestem pewny, że potrafię cię pocieszyć, skoro urosnę.... Będę prawdziwym szlachcicem, jak mój ojciec...

Ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi margrabiny i wzniosła ku niebu oczy. Czy przyniosłoby jej to szczęście, gdyby Gwido spełnił kiedyś swą obietnicę? Czy świetne przymioty jej syna zapewniły jej spokój, czy nie byłoby lepiej gdyby posiadał tylko ciche, domowe cnoty? Ale cóż czynić, wszakże gorąca krew Plouernel'ów płynie w żyłach tego dziecka, a może też łagodna i kochająca Renata będzie wywierać zbawienny wpływ na Gwidona. Margrabia Raul nie miał siostry, a ukochana jego żona umarła tak młodo. Może to właśnie przyczyniło się do jego zguby.

— Doprawdy, babuniu, odezwał się znów Gwidon, który bardzo kochał babkę, ile razy pomyślę, że pojedziemy z tobą do Bretanii, zaraz mi lżej na sercu. Tak nieraz tęskniłem do naszych pól, do naszego parku!... Kiedy tam pojedziemy?

— Jak będzie można najprędzej, moje dziecię; ale muszę pierwej załatwić niektóre interesa.

Biedna margrabina nie spodziewała się jednak aby te interesa mogły zatrzymać ją długo w Paryżu; tymczasem zaraz na drugi dzień po pogrzebie, zaczęli się schodzić do pałacu jacyś ludzie, często nawet bardzo gminnej powierzchowności, i dopytywali się o pana Bouchard, kredencerza, który znów rozmówiwszy się z nimi udawał się do margrabiny z pliką papierów w ręku. Po każdej takiej rozmowie z Bouchardem, biedna margrabina była jeszcze smutniejsza i bardziej przygnębiona. Dla siebie niczego się już nie lękała i o nic się nie troszczyła, żyła tak samotnie i tak mało potrzebowała! Ale dowiadując się ciągle o nowych długach, których dotąd nie domyślała sie wcale, zaczęła przeczuwać że biednym sierotom pozbawionym już opieki rodzi-

cielskiej, grozi jeszcze utrata majątku, i ta myśl przejmowała ją niewypowiedzianą boleścią i trwogą.

Wprawdzie można było jeszcze ocalić przynajmniej znaczną część majątku, gdyby ktoś umiał się tem zająć, ale margrabina nie miała najmniejszego wyobrażenia o podobnych interesach i nie domyślała się nawet tego. W końcu Bouchard widząc ją pewnego dnia jeszcze smutniejszą i więcej przygnębioną, rzekł do niej, sądząc, że jej udziela dobrą radę:

— Zdaję mi się, pani margrabino, że byłoby najlepiej zasięgnąć rady prawnika, który zajmował się ciągle interesami pana margrabiego.

Margrabina uchwyciła się z radością tej myśli budzącej w niej iskierkę nadziei, i przyzwała pana Mercier do Paryża.

Dzieci zadziwiły się bardzo, gdy go spostrzegły wchodzącego do pałacu. Gwido poznał zaraz że to jest pan Mercier, którego stara, zakurzona karyolka i siwy, chudy koń, pobudziły go do tak serdecznego śmiechu, gdy wczasie ostatnich wakacyj spotkał go na drodze, jadąc na swym ślicznym poneyu, w tak pięknej *riding-jacket* z czarnego aksamitu.

— O! biedny paniczyk, biedny mały Gwido! czy mógł myśléć wtenczas że ten chudy koń prowadzi swego pana prostą drogą do majątku, gdy tymczasem ta świetność, z której on był tak dumnym, zniknie wkrótce jak bańka mydlana, tak świetnie mieniąca się w świetle a tak nietrwała!

Przybycie notaryusza uspokoiło trochę margrabinę, i chętnie upoważniła go do załatwienia interesów, których ciężar przewyższał jej siły. Mercier oświadczył, że jakkolwiek nie może na długo oddalać się z domu, będzie się starał zebrać i przejrzyć rachunki wierzycieli w Paryżu, i skłonić ich do odstąpienia jakiejś części należności, nakoniec obliczy wszystko, doda wypadającą z tego sumę do obciążających hipotekę,—bo sumienie i obowiązek nie dozwala mu ukrywać przed panią margrabiną, że są także znaczne długi hipoteczne,—a następnie zastanowi się w jaki sposób będzie można zaspokoić wszelkie należności.

Margrabina trochę spokojniejsza, ale zawsze bardzo smutna, zaczęła czynić przygotowania do wyjazdu z Paryża, i wtenczas częste zapytania Gwido na powiększały jej boleść i przejmowały obawą.

— Babuniu, wszak zatrzymamy i nadal ten pałac? zapytał, nie przypuszczając, aby chłopcz k pochodzący z tak znakomitej rodziny, mógł przepędzić zimę w Bretanii.

— Nie, moje dziecię, pałac ten nie należał do twego ojca. Cóżbyś tu robił sam jeden? Wkrótce wynajmie go ktoś inny.

— Doprawdy, Renato, zawołał, z żywością, gdybym był wiedział że już tak krótko będziemy tu mieszkać byłbym z pewnością pogruchotał urnę.... A konie ojca, babuniu?... Są tak piękne, tak żywe. Przecie możemy zabrać je z sobą.

Margrabina zadrżała a twarz jej pokryła się jeszcze grubszym cieniem smutku. Wiedziała jak i dla czego syn jej poświęcił życie, a czuła, że gdyby zginął w obronie wiary i kraju, potrafiłaby znieść jego stratę z bohaterską rezygnacyą, może nawet z dumą.

— Nie, sprzedamy je, odpowiedziała. Wiesz, że mamy na wsi inne; moje siwe konie są tak spokojne, i tak pięknie wyglądają, gdy je zaprzęgną do powozu.

— Ba! stare konie i taki powóz! wszystko to razem nieszczególnie wygląda, odpowiedział roztrzepany Gwido. Ale na czem ja będę jeździł babuniu?

— Możemy zabrać twego poneya Gwidonie.... Ale patrzcie dzieci jaka śliczna pogoda; idźcie do ogrodu tam się lepiej zabawicie. Potem szepnęła, upadając na krzesło: To już przechodzi moje siły!

Dzieci wyszły milczące i zamyślone, a skoro Renata była pewną że nikt jej słyszéć nie może, rzekła do brata z łagodną powagą:

— Zdaję mi się, mój drogi Gwidonie, że źle robisz mówiąc do babki tak jak mówiłeś.... Widziałam że jej to sprawiło wiele przykrości. Nie żądaj tak nierozważnie, aby ztąd zabrano to lub owo, bo jeżeli kiedyś będziemy biedni, to nam te wszystkie zbytkowne rzeczy na nic się nie zdadzą.

— Co też ty mówisz, Renato? odpowiedział obojętnie chłopiec. Alboż to można zostać ubogim będąc margrabią?

— Niestety! można braciszku, jestem tego pewną, odpowiedziała z westchnieniem Renata. Tytuł jest to zaszczyt pozostający na zawsze w rodzinie, którego nikt zabrać jej nie może, ale majątek stanowią pieniądze, a pieniądze łatwo można stracić. Wiesz dobrze jak prędko wydawałeś dwa luidory, które ojciec dawał ci co miesiąc na cukierki i zabawki.

— Prawda, ale cóż znaczą dwa luidory; ojciec miał przecie daleko więcej. Czemuż więc dla tego że umarł mielibyśmy być opuszczeni, nieszczęśliwi i pozbawieni wszystkiego, jakby jacyś nędzarze.

— Nie mówię też, że będziemy od wszystkich opuszczeni, odpowiedziała Renata z miłym i spokojnym uśmiechem; tylko zdaje mi się że nie będziemy już miéć majątku, bo słyszałam jak to mówił Bouchard do Babtysty, gdyż pan Mercier wstrząsa głową ile razy przyniosą mu jakiś nowy rachunek do zapłacenia, a nakoniec, ponieważ nasza droga babunia płacze bardzo przeglądając te szkaradne papiery dotyczące interesów... Wolałam ci po wiedzieć teraz, mój drogi Gwidonie, abyś miał czas oswoić się z tą myślą, i żebyś nie okazywał niezadowolnienia, skoro będziemy w Plouernel sami tylko z babunią. Czy to koniecznie trzeba miéć dużo pieniędzy aby być szczęśliwym i kochanym od tych, których kochamy?... A ja cię tak kocham, mój drogi, jedyny braciszku, babunia zaś oddałaby chętnie dla ciebie życie.

Mówiąc to, Renata objęła rączkami szyję braciszka, i uściskała go z najżywszą czułością, spoglądając na niego z wyrazem najtkliwszej, prawie macierzyńskiej troskliwości.

— O! wiem, Renato, że jesteś bardzo dobra, to też kocham cię także z całej duszy... Ale zawsze będzie to dla mnie dziwnem, a nawet nieznośnem, wiedzieć że jestem ubogim!... Tak mi żal że sprzedają konie ojca! Nie chciałbym także siedziéć ciągle w domu, w towarzystwie osób w podeszłym już wieku. Dla ciebie może to wystarczyć, mówił dalej zachmurzony, ale nie dla mnie... Przecie babunia nie będzie galopować obok mnie na koniu, gdy wyjadę na spacer... Będę więc musiał poprzestać na towarzystwie dzieci fermierów lub synów mieszczan z Kergrat. A! przypominam sobie, że ten Mercier ma syna Alfreda, starszego ode mnie; gra wybornie w piłkę, i bardzo mi się podobał. Widziałem go pewnego dnia, kiedy ojciec zostawił mnie na ulicy a sam poszedł do kancelaryi pana Mercier... Przypominam nawet sobie, iż pan Mercier widząc, że Alfred bawi się z dziećmi chłopskiemi, wytargał go za uszy i nie pozwolił wychodzić z domu. Wyborna myśl! zostanę przyjacielem Alfreda, i bądź co bądź nie będę się nudził sam jeden w pałacu. Dzięki tej pocieszającej myśli, mały Gwido w kilka dni później, opuścił spokojnie, prawie wesoło, wspaniały pałac i wszystkie przedmioty zbytku i elegancyi, do których się już tak przyzwyczaił, i oddalił się może na długo z Paryża w towarzystwie smutnej i poważnej margrabiny.

III.

Ciotka Sylwija.

Jakkolwiek biedna Renata była bardzo smutna, zwłaszcza w początku podróży, widok pól i lasów w Plouernel rozpędził chmurkę pokrywającą jej czoło, i przywołał uśmiech na jej usteczka. Nie widziała jeszcze nigdy w maju tych łąk zielonych, tych wielkich lasów, tych kwiecistych ścieżek i strumyków wijących się jak srebrzyste wstęgi, i piękność budzącej się ze snu natury, zaczęła już wywierać jakiś dziwny urok na myślącą i tkliwą dziewczynkę. Jakieś przeczucie mówiło jej że nie znajdzie szczęścia wśród zgiełku świata, że jak fijołek szukać będzie cieniu i samotności. Dla tego też, choć wspomnienie rodziców wydzierało często gorzkie łzy z jej oczu, dziękowała Bogu za to co jej pozostawił jeszcze. Wystarczały jej pieszczoty babki, słuchała z przyjemnością opowiadania starej Iwony, poprzestawała na przechadzce przez pola aż nad morze, równie jak była zadowolona z najskromniejszego ubrania; dopełniała je girlandą z bluszczu, wianeczkiem z błękitnych dzwonków zerwanych nad strumieniem, i nie wymagała nic więcej.

Gwidon ze swej strony korzystał o ile możności z wiejskiej swobody i wiejskiego powietrza. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach pobytu w Plouernel, poney jego, Bunner, nie odpoczywał nigdy długo w stajni, a stangret Franciszek, stary sługa margrabiny, zapewnie ubolewał często w myśli, że zawistny los zmusza go towarzyszyć zawsze i wszędzie panu Gwidonowi. W czasie jednej z tych wycieczek rozpieszczonego chłopca,—w którego nieobecności spokój i cisza wracały do pałacu,—Renata spostrzegła że babka pisze list jakiś, i często kładzie pióro, aby obetrzéć łzy zasłaniające jej oczy. Wzruszona i niespokojna zbliżyła się do margrabiny, i rzekła nieśmiało biorąc ją za rękę:

— Czy mogę zapytać do kogo pisze babunia ten list, który zdaje się sprawiać jej tyle przykrości?

— Nie ma w tem nic złego moje dziecię, odpowiedziała margrabina, zdejmując okulary i przyciągając do siebie dziewczynkę. List ten wywołał łzy moje, ale nie sprawia mi przykrości, ponieważ piszę go myślę o was. Czy pomyślałaś kiedy, moje drogie dziecię, jaką byłaby wasza przyszłość, biedne sieroty, wrazie gdyby Bóg powołał do siebie waszą starą babkę? Nie, wszak prawda? Szczęściem, w twoim wieku nie przewiduje się jeszcze przyszłości. Ale ja mam obowiązek myśléć za was i dla tego postanowiłam napisać do ciotki Sylwii.

Renata, która na samą myśl o tem nowem nieszczęściu, przytuliła się silniej do babki, podniosła żywo głowę z takim wyrazem, jakby w swych wspomnieniach starała się znaleźć obraz ciotki Sylwii.

Przypominała sobie wtenczas, że raz wieczorem wczasie ostatniej choroby matki, przyjechała do Plouernel jakaś pani wysoka, bardzo szczupła, w sukni zupełnie gładkiej i w zmaszczonym kapeluszu, która przyniosła sama torbę podróżną, szal i parasol, jakby nie wiedziała że są na świecie służący i komisionerzy. Była to ciotka Sylwia, a choraz zobaczywszy ją, wyciągnęła do niej z radością ręce i nazwała siostrą. Renata przypomniała sobie także, iż margrabia Raul zmarszczył brwi, niezadowolony z tego, że Sylwia nie uprzedziła go pierwej o swoim przyjeździe, i z tego powodu nie mógł posłać po nią pięknego powozu. Gdy jej to powie-

dział, wzruszyła lekko ramionami i rzekła spokojnie:

— Ba! mój panie szwagrze, nie warto się kłopotać takiemi drobnostkami. Nie wiedziałam z pewnością którym pociągiem będę mogła przyjechać, i nie chciałam poruszać, może napróżno, całego zastępu twych lokajów i stangretów. Od stacyi do Plouernel nie daleko, a zresztą w połowie drogi spotkałam twego fermiera Mottrais, który ofiarował mi bardzo grzecznie miejsce w swej karyolce. Nie warto nawet mówić o tem. Zajmijmy się lepiej naszą ukochaną chorą.

Ciotka Sylwia zdjęła kapelusz i wielki płaszcz podróżny, włożyła na głowę skromny biały czepeczek i usiadła przy łóżku w wielkim fotelu, w którym zdawało się Renacie, że ją widzi jeszcze. Ile razy później dziewczynka przyszła uściskać swą ukochaną chorą mateczkę, zastawała zawsze ciotkę Sylwię na tem samem miejscu. Potem nagle Renata przestała ją widywać. Matka umarła i ciotka odjechała.

— A jednak musiała nas zawsze kochać, pomyślała dziewczynka; zdaję mi się, że czuję jeszcze na czole jej pocałunek, pocałunek jeden tylko, ale tak szczery, serdeczny i zwilżony łzami... Czemuż nie widzieliśmy jej już nigdy od tego czasu? Skoro mama tak ją kochała, to i ona z pewnością nas kocha.

— Więc przypominasz sobie ciotkę Sylwię? zapytała babka, zwracając na milutką twarzyczkę Renaty spojrzenie pieszczotliwe i trochę niespokojne. Jest to osoba bardzo zacna, obdarzona najlepszem sercem i gruntownemi przymiotami. Gdybym ja także miała was opuścić, jej tylko jednej mogłabym was powierzyć z ufnością.

— Nie mów tego, babuniu, zawołała Renata zalewając się łzami.

— Zastosuję się do twego życzenia, moje ukochane dziecię; nie chciałabym cię martwić... W każdym jednak razie wolę porozumieć się zawczasu z ciotką Sylwią. Ojciec twój, Renato, nie starał się nigdy zbliżyć z siostrą twojej matki; zbyt wielka zachodziła między nimi sprzeczność pod względem charakteru, upodobań i nawyknień. Co do mnie, są to rzeczy na które już nie zwracam uwagi i jestem gotowa kochać wszystkich, którzy was kochają. Lecz, niestety! mało jest takich na świecie; pozostałyście prawie zupełnie same; biedne dzieci! Z mej strony nie ma już nikogo, i gdyby nie wy, powiedziałabym że zbyt długo żyję. Matka wasza bardzo wcześnie straciła rodziców; i wychowała ją starsza jej siostra Sylwia, córka pana de la Trémarais z pierwszego małżeństwa. Dziś, prócz ciotki Sylwii i waszej starej babki nie macie już nikogo na świecie. Ze strony ciotki możecie się spodziewać szczerego przywiązania,. ale pieszczot nie wiele: jest surowszą i więcej wymagającą odemnie. Pomimo, to pokładam w niej niezachwianą ufność, i dla tego piszę dziś do niej. Tak pragnę tego aby nas odwiedziła!

— Więc prosisz jej, babuniu, aby przyjechała do nas? zapytała Renata.

— Nie tylko proszę, ale błagam jej o to... Niech was pozna, podzieli nasz smutek, wesprze mnie swą radą..

— O! przyjedzie z pewnością, skoro babunia mówi, że jest tak dobrą i kochającą. Zresztą jeżeli babunia pozwoli, to napiszę także do niej kilka wierszy i powtórzę też samą prośbę. Może miło jej będzie dowiedzieć się że nie zapomniałam o niej jeszcze.

— Wyborna myśl moje dziecię. Usiądź tu i napisz także do niej.

Renata usiadła przy staroświeckiem, pięknie wysadzanem biórku, które służyło już nie jednej margrabinie de Plouernel, i czerpiąc natchnienie z serca, napisała kilka wierszy które margrabina przeczytała następnie ze łzami w oczach:

„Droga ciotko Sylwio! siostrzenica twoja, Renata, ośmiela się przesłać ci zapewnienie, że dotąd nie zapomniała o tobie, i byłaby bardzo szczęśliwą gdyby cię mogła zobaczyć i poznać lepiej. Będzie to dowód wielkiej dobroci z twej strony, jeżeli zechcesz do nas przyjechać, bo po strasznem nieszczęściu jakie nas spotkało, smutno u nas, bardzo smutno. Czem więcej myślę o tobie, droga ciociu, i czem wyraźniej przypominam cię sobie, tem pewniejszą jestem że cię będę kochać więcej niżeli to wyrazić potrafię. Babunia byłaby także spokojniejszą, a Gwido uważniejszym, gdybyś tu była z nami. Przyjedź więc do nas, droga ciotko Sylwio, jeżeli nie przestałaś nas kochać, a nadewszystko jeżeli litujesz się nad biednemi sierotami, które nie mają już ani ojca ani matki!"

— Jestem pewną, drogie dziecię, rzekła rozczulona margrabina, że twoj bilecik sprawi na tej dobrej Sylwii de la Trémarais silniejsze wrażenie nad to wszystko, co jej powiedzieć mogę.

Czuję, że porzuci bez wahania na czas jakiś swych przyjaciół i swój domek w Saint Serwan, i przyjedzie do Plouernel.

— O! gdyby chciała tu zostać na zawsze! zawołała Renata. Byłoby nam lepiej i milej razem, nawet pałac zdawałby się weselszym!

— Na zawsze! powtórzyła z boleścią margrabina. Wiedziała z doświadczenia jak wszystko na świecie nietrwałe, i spojrzała na plikę papierów pokrytych cyframi, która zdawała się budzić w niej głęboką obawę o przyszłość pałacu i obecnych jego właścicieli. — Patrz, Gwido wraca z przechadzki, idź do niego, drogie dziecię, dodała biedna kobieta.

Renata odeszła, ucałowawszy jej ręce, i spotkała brata już w kwiatowym ogrodzie.

— Powiem ci coś nowego, siostrzyczko, zawołał wesoło chłopczyk, skoro ją tylko spostrzegł.

— Ja także Gwidonie.

— Wyobraź sobie, mówił dalej Gwidon, że spotkałem pana Mercier i syna jego Alfreda. Pan Mercier jest bardzo grzeczny; witając mnie powiedział: Dzień dobry, panie margrabio, i ukłonił mi się bardzo nizko. Co do Alfreda, jestem pewny, że w jego towarzystwie bawiłbym się wybornie, bo kiedy ojciec rzekł do niego. „Nie masz, mój chłopcze tak pięknego jak ten, i tak dobrze utresowanego poneya", on odpowiedział mu: „Mniejsza o to, mój ojcze.... Wszakże umiem jeździć nawet na bardzo żywych koniach bez siodła." Czy słyszysz, Renato, jeździ na nieosiodłanym koniu! a nie ma więcej nad trzynaście lat!... Dla tego też prosiłem zaraz notaryusza, aby przywiózł z sobą Alfreda, skoro pierwszy raz przyjedzie do nas.

— Może lepiej byłoby prosić pierwej babuni o pozwolenie, rzekła Renata, ale widząc że niecierpliwy chłopiec marszczy swe piękne czarne brwi, dodała śpiesznie: O! nie lękaj się braciszku, babunia tak pragnie abyś się bawił dobrze. Ale ja także powiem ci coś nowego. Prawdopodobnie będziemy mieć wkrótce gościa. Babunia pisała dziś do ciotki Sylwii.

— Któż to jest ta ciotka Sylwia? zapytał Gwido; nigdy o niej nie słyszałem.

— Rzeczywiście, byłeś jeszcze wtenczas zbyt małym, abyś mógł przypomnieć ją sobie, rzekła Renata, a następnie opowiedziała mu kiedy ciotka Sylwia była już w Plouernel, i że jest siostrą ich matki.

— Wiesz co, zawołał Gwido, zdaję mi się że coś sobie przypominam. Czy też ciotka Sylwia nie nosiła dwóch dużych papilotów z każdej strony czoła, i czepka ugarnirowanego rurkowanym tiulem? Zdawało mi się w tenczas, że to jakaś nowa służąca... Byleby tylko ubierała się inaczej jak teraz przyjedzie do pałacu!

— Dla czego, braciszku? zapytała niespokojnie Renata.

— Aby nie pobudzała mnie do śmiechu... lub do gniewu.

— Gwidonie! jak możesz mówić coś podobnego? To bardzo źle...

— Nie, nie, odpowiedział uparty chłopiec, kto mieszka w pałacu, powinien się ubierać jak margrabiowie lub wielkie panie. Naprzykład ty, Renato, czy chciałabyś ukryć twe czarne warkocze, tak piękne że patrzeć na nie miło, pod czepcem starej Iwony; lub też czy nasza babunia nosi takie grube wełniane kaftany jak stara Franciszkowa. Chcąc, aby wszystko było w porządku, każdy powinien po zostać na swojem miejscu.

— Jeżeli tak, Gwidonie, to miejsce dobrej ciotki jest właśnie przy sierotach potrzebujących jej opieki. A prócz tego, dodała z żartobliwym uśmiechem, chcąc, aby stosownie do twej zasady, każdy był w porządku i na swojem miejscu, pewien chłopczyk powinienby o tej porze siedzieć już nad książką i uczyć się zadanej mu lekcyi, zamiast przebiegać pola i lasy w towarzystwie starego Franciszka.

Mówiąc to, patrzyła z uśmiechem na brata, który także uśmiechał się do niej. Następnie wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. Gwido ociągał się trochę z początku, a następnie poszedł już żwawo do pokoju w którym uczyli się oboje.

Zbawienny wpływ Renaty okazał się równie skutecznym w kilka dni później, skoro przyjechała ciotka Sylwia. Panna de la Trémarais uwiadomiła margrabinę w liście krótkim, ale serdecznym, że przyjmuje z największą chęcią jej uprzejme zaproszenie. Teraz ciotka Sylwia nie potrzebowała już dźwigać sama podróżnej torby, szala i parasola, gdyż pani de Plouernel posłała na przeciwko niej powozem Renatę ze starą służącą. Gwidona zatrzymała w pałacu, aby mu raz jeszcze przedstawić, że prawdziwy szlachcic powinien być grzecznym dla wszystkich kobiet w ogólności, a dla wszystkich ciotek w szczególności, choćby nawet nosiły rurkowane czepki i papiloty.

Renata nie potrzebowała czekać długo na stacyi; zaledwie usiadła na ławeczce przed dworcem, rozległ się w dali świst lokomotywy, następnie zobaczyła kłęby dymu unoszącego się w powietrzu i serce jej zaczęło bić śpieszniej, a żywy rumieniec wystąpił na jej lica, choć nie umiałaby sobie zdać sprawy dla czego była tak wzruszoną. Potem pociąg się zatrzymał, otworzono drzwi wagonów; z jednego z nich wysiadła wysoka i szczupła kobieta w żałobie, i zwróciła się żwawo ku ławeczce, na której siedziała dziewczynka ze łzami w oczach. Renata nie widziała w pierwszej chwili szala, torby podróżnej i parasola, lecz gdy ochłonęła ze wzruszenia, spostrzegła to wszystko na ławce obok siebie i zwróciła się myślą w przeszłość, w przeszłość smutną także, a jednak milszą od teraźniejszości. Ale ciotka Sylwia ściskała z tak żywą czułością rączkę dziewczynki, a jej ciemne, głębokie i łzą zwilżone oczy, z takiem współczuciem, tak pieszczotliwie wpatrywały się w twarzyczkę siostrzenicy, że jakkolwiek wzruszenie nie dozwalało im przerwać milczenia, uczuły, że w sercach ich budzi się jakieś radośne uczucie, jakaś wzajemna ufność i żywe współczucie, jakby dość było jednej chwili, aby się

zrozumiały i oceniły wzajemnie, i jak gdyby ich ręce, teraz złączone, nie miały rozłączyć się już nigdy.

Gdy wsiadły do powozu, ciotka Sylwia wypytywała się o nauki, zajęcia i upodobania Renaty, a dziewczynka odpowiadała jej na wszystko otwarcie i gdy stanęły przed pałacem można było sądzić że znają się już dawno. Panna de la Trémarais wyciągnęła z żywością rękę do margrabiny, która pocałowała ją w twarz jakby córkę lub siostrę. Figlarny Gwido szedł tuż za babunią, ale dzięki jej naukom stał prosto, poważnie, z odkrytą głową. Rzucił wprawdzie okiem na czoło ciotki, czy tam nie zobaczy papilotów, ale Renata spostrzegła to, i przestraszona przyłożyła palec do ust, aby mu nakazać milczenie; zresztą widok żałobnej sukni i długiej krepowej zasłony potrafił go utrzymać w granicach przyzwoitości. Ukłonił się poważnie i nie przestąpił w niczem przepisów grzeczności, a co więcej, nie zmarszczył nawet brwi. gdy ciotka Sylwia przywitawszy babkę, zbliżyła się do niego i poklepawszy lekko po twarzy, rzekła:

— A więc to jest mój siostrzeniec Gwido, nadzieja rodziny!... Prawdziwy margrabia, trudno temu zaprzeczyć; wysmukły, kształtny, zręczny.... a zapewnie także próżny i roztrzepany, jak oni wszyscy....

Szczęściem ciotka Sylwia wymówiła ostatnie słowa tak cicho, że margrabina i Gwidon nie mogli ich dosłyszeć. Po obiedzie dzieci wyszły do ogrodu, a babka i ciotka, jedyne ich opiekunki, rozmawiały z sobą długo i obie płakały. Następnie, ciotka Sylwia obtarła starannie oczy i poszła zobaczyć ulubieńców Renaty w kurniku i oborze, a przechodząc koło stajni, zajrzała do poneya Gwidona. Po powrocie do domu usiadła przy lampie i wyjęła z kieszeni różaniec i robotę na drutach, które jak się zdawało, nosiła zawsze przy sobie.

Skoro nakoniec wszyscy udali się na spoczynek i ciotka Sylwia znalazła się sama w pokoju którego próg przestąpiła ostatni raz po śmierci siostry, opuściło ją nagle męztwo podtrzymujące ją dotąd, i wyrazista jej twarz pokryła się chmurą smutku. Zbladła, i wolnym, poważnym krokiem zbliżyła się do kominka, nad ktorym wisiała w złotych, ozdobionych emalją ramkach, miniatura młodej i pięknej kobiety, jej siostry, matki Renaty i Gwidona.

Wsparła na dłoni głowę pokrytą gęstym jeszcze, ale już siwiejącym włosem, i łzy wielkie, gorzkie, palące, jakich trudno było się spodziewać patrząc na jej oczy rzucające często tak szydercze spojrzenia, potoczyły się po jej twarzy, którą po chwili ożywiła jednak iskierka nadziei.

— O! moja Renato! Czy zlitowałaś się wreszcie nademną? szepnęła. Czy zechciałaś dla mnie odrodzić się w twojem dziecięciu?

Podniosła głowę, zadając to pytanie więcej sobie niżeli portretowi, a następnie poważna i zamyślona zwróciła się do znajdującego się niedaleko fotela. Przechodząc koło kominka, spostrzegła miniaturę wiszącą po drugiej jego stronie; jakże nagle odwróciła oczy! jakże ostrem, pogardliwem, prawie nielitościwem było teraz jej spojrzenie! Jednak ten nagły wybuch gniewu minął prędko; ciotka Sylwia przeszła koło miniatury wzruszając ramionami, i usiadła na fotelu z lekkiem westchnieniem.

Ciotka Sylwia, pomimo rzadkiej cierpliwości i szlachetności charakteru, miała jedną tylko, ale wielką wadę: nie łatwo przebaczała tym którzy ją obrazili. Dla tego też i teraz siedząc zamyślona przed kominkiem, przebiegła myślą wszelkie upokorzenia jakie znosić musiała od męża *swej* Renaty, od tego dumnego i lekkomyślnego Raula de Plouernel. Biedna Sylwia! uważała się zawsze za opiekunkę, prawie za matkę swej ślicznej siostry, którą kochała tak szczerze, z takiem zaparciem się samej siebie. Była córką pana de la Trémarais z pierwszego małżeństwa; oddana w dziecinnym jeszcze wieku na wychowanie do babki, przywykła w jej mieszczańskim domu do ciągłego wglądania w najdrobniejsze zajęcia domowe, i nauczyła się pogardzać zbytkiem, oraz pańskiem ułożeniem i pańskiemi nawyknieniami, ztąd też później zachodziła tak rażąca sprzeczność między nią a pełną wdzięku i dystynkcyi powierzchownością jej ślicznej i młodziutkiej siostry, Renaty de la Trémarais. Potem nadszedł czas, w którym obie siostry osierocone, pozostały same na świecie, tylko że jedna z nich była już prawie kobietą, druga prawie jeszcze dzieckiem. Jakże wtenczas chętnie, radośnie, z jakiem uniesieniem, skromna mieszczanka Sylwia, otoczyła siostrę czułą, prawdziwie macierzyńską opieką. Pogardzając dla siebie tym eleganckim światem, w którym czuła się obcą, pragnęła gorąco, namiętnie, aby ten sam świat przyjął mile jej drogą Renatę, i uznał ją za swoją! Jak śpiesznie, bez najmniejszej pretensyi, kładła na siebie przed każdem wieczornem zebraniem swe aż nazbyt skromne ubranie, aby zająć się wyłącznie siostrą, ubrać wstążką jej białą sukienkę, przypiąć kwiatek do jej jasnych włosów, a następnie patrzyć z zachwyceniem na swoją Renatę, na swoje dziecię, na swój ideał piękności i wdzięku. Przez czas jakiś biedna Sylwia, ta siostra matka, cieszyła się, że jej życzenia zostały spełnione, zachwycano się pięknością i pełnem wdzięku ułożeniem Renaty, przyjmowano ją z otwartemi rękami w najpierwszych salonach, jako największą ich ozdobę; w końcu nawet, przez wzgląd na nią tolerowano w nich jej siostrę. Nie dość na tem, Renata swą pięknością, pełną niewysłowionego wdzięku, podbiła serce młodego Raula margrabiego de Plouernel, który też oświadczył się o jej rękę. Jakże to cieszyło Sylwię że siostra jej zostanie margrabiną, że spełniły się jej najgorętsze pragnienia! Niestety! ta radość tak czysta i tak bezinteresowna, trwała tylko do dnia ślubu Renaty. Dla dumnego i wykwintnego Raula de Plouernel, szlachetność serca, dobroć i wielkość duszy, bezgraniczne poświęcenie, wtenczas tylko zasługiwały na uznanie, jeżeli odznaczające się niemi osoby ubierały się strojnie i posiadały głęboką znajomość etykiety, jeżeli nie dworskiej, to przynajmniej salonowej. Zdawało mu się, że mieszczańskie ruchy i ułożenie, jak niemniej ubogie ubranie Sylwii, były niewłaściwe w tej wspaniałej siedzibie jego naddziadów, w tym pałacu, który urządził z takim przepychem dla swej młodej żony. I nie tylko że tak myślał, ale jeszcze może pomimowolnie dał jej to uznać.... Wtenczas Sylwia milcząca i dumna, oddaliła się z jego domu z rozpaczą w sercu, ale bez jednej łzy w oczach. Oddała zupełnie temu obcemu, temu wrogowi, jak serce jej nazywało Raula, swoją Renatę, swoje dziecię, swój skarb, istotę, którą kochała od najmłodszych lat tak szczerze, tak gorąco, że zupełnie zapomniała o sobie. Opuściła ją szczęśliwą, ubostwianą, i zobaczyła dopiero po kilku latach już umierającą. Wobec niebezpieczeństwa grożącego Renacie, potrafiła przezwyciężyć swą niechęć i dumę lecz, niestety! nie została wynagrodzona za ten nowy dowód miłości i poświęcenia,—Renata umarła. Sylwia znów powróciła do siebie, zawsze dobra, zawsze mężna, ponieważ dobroć i męztwo stanowiły główną podstawę jej charakteru, ale surowa, niedowierzająca i smutna. Gorycz wspomnień wpływała, pomimo jej woli, na jej sąd o rzeczach i ludziach. Często widziała oziębłość lub ironię w słowach życzliwych, albo też obojętność, niechęć, lekceważenie w najniewinniejszym uśmiechu.

Jednak przybyła znów do tego pałacu, patrzyła na portret człowieka z którego powodu przecierpiała tak wiele. Zakończył już życie i Bóg może zlituje się nad jego duszą, ale co do niej, na samą myśl o nim spokój i pobłażliwość ulatały z jej serca. Przybyła bez wahania skoro ją tylko zawezwano.... Czy ocenią ten dowód jej przywiązania? Gdyby jednak, pomimo fałszywości tak upowszechnionej, uśmiech tej drogiej Renaty był szczerym, wolnym od wszelkiej obłudy? Gdyby pocałunki tej drugiej Renaty były rzeczywiście serdeczne i czyste jak pocałunek anioła?.... O! jakże szczodrze zostałaby wynagrodzoną za wszystko czego się wyrzekła, i za wszystko co przecierpiała.

Takie to myśli i wspomnienia snuły się w umyśle ciotki Sylwii, i dziwiła się temu że pomimo ich goryczy, w sercu jej budziło się przeczucie jaśniejszej przyszłości. Uśmiech i spojrzenie Renaty rozbudziły już w niej iskierkę nadziei.

IV.

Wesołość i troski.

W piękny poranek czerwcowy, notaryusz kazał ochędożyć starannie konia, umyć kabryolet, i wsiadł do niego żwawo, wsadziwszy pierwej swe dzieci, co wywołało zadziwienie mieszkańców miasteczka. Dostrzeżono nawet—rzecz niepamiętną w kronikach miejscowych, że Alfred miał na sobie jasne i tak eleganckie ubranie, że niepodobna było wątpić o jego pochodzeniu z jakiegoś pierwszorzędnego zakładu w stolicy, i że mała Melina, w białej haftowanej sukience ubranej różowemi wstążkami, była śliczna jak aniołek, i wyglądała jak księżniczka.... Następnie pan Mercier kazał sobie podać dużą towarzyszącą mu wszędzie tekę, wziął lejce, plasnął językiem, Siwy ruszył z miejsca, a wkrótce potem kabryolet znikł z oczu ciekawych i toczył się drogą wiodącą do Plouernel.

— Jedziemy do pałacu! do pałacu! zawołał Alfred klaszcząc w ręce gdy wyjechali już z miasta.

— Cicho! przerwał surowo ojciec. Nie potrzebujesz uwiadamiać o tem wszystkich przechodzących.

— Dla czegóż nie mam o tem mówić, mój ojcze, Wszak sam słyszałeś, że mnie Gwido zaprosił?

— Zaproszenie dziewięcioletniego chłopca, choćby najpiękniejszym ozdobionego tytułem, nie jest jeszcze dostatecznem w świecie arystokratycznym, gdzie ściśle trzymają się przepisów etykiety... Tylko bywają zdarzenia, okoliczności... Słowem... dość na tem, nie zrozumiesz mnie.. W każdym razie, wiem z pewnością, że między dziesiątą a jedenastą dzieci bawią się w ogrodzie lub parku, i mam nadzieję że spotkamy się z nimi. Ja pójdę do pałacu, gdzie mnie powołują interesa, co zaś do was, pamiętajcie, że jedziecie ze mną do Saint-Pol, do jednego z moich znajomych, ale że nie możecie zostać sami w kabryolecie, pozwolę wam wysiąść na chwilę. Będziesz mógł wtenczas poznać się lepiej z Gwidonem, Linetta zaś niech się ukłoni pięknie pannie Renacie i stara się być bardzo grzeczną. Słuchajcie uważnie co wam mówię, mówił dalej nakazująco notaryusz; nie idzie mi o to abyście się dobrze bawili, ale żebyście byli uprzejmi, grzeczni i starali się zabawić innych. Postępujcie więc w pałacu tak... tak jakbym na was patrzył... bo jeżeli się dowiem że pan Gwido i panna Renata nie byli z was zadowolnieni, to Linetta może być pewną, że wrzucę w ogień jej piękną suknią i wszystkie wstążki, tobie zaś, Alfredzie, poobrywam uszy. *(D. c. n.)*

Opis do N-ru 26.

(Dokończenie.)

N. 13. Czepeczek koronkowy.



N. 3. Ubranie dla chłopca lat 5—7.



N. 1—2. Kapelusiki dla dziewczynek.

N. 1. Kapelusik przybrany sznelą. N. 2. Kapelusik przybrany materyą.

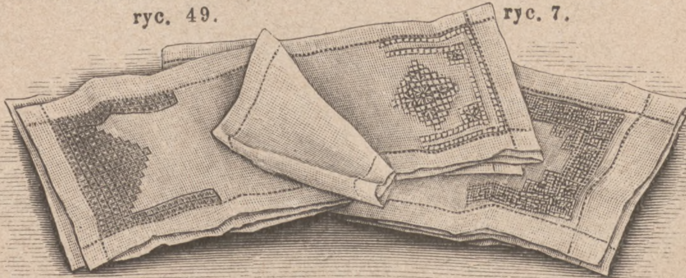
Strojny czepeczek przedstawiony na ryc. 13 upięty jest z żółtawej koronki 8 cent. szerokiej i z wstążki atłasowej 6 c. szerokiej, ciemnego i jasnego koloru heljotropu. Podstawę stanowi pasek tiulowy założony w ząb nad czołem, 7 cent. szeroki a 36 długi, złączony z tyłu elastyką. Jest on przykryty koronką fałdowaną wachlarzowo, przepinaną puklami wstążki. Denko stanowi koronka dana dwa razy w górę a raz do dołu; pod spodem od środka podstawy z przodu przeprowadzona jest wstążka, zakończona z tyłu kokardą podgarnirowaną koronką. Końce związane z tyłu liczą 65 cent. długości.



N. 5. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 49. N. 6. Suknia z szarfą. Patrz ryc. 7.



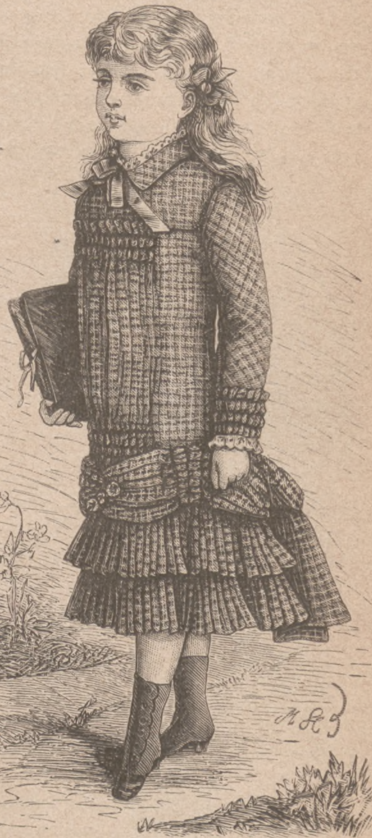
N. 7. Suknia z szarfą. Patrz ryc. 6.



N. 9—11. Krawatki z indyjskiego muślinu.

N. 14—19. Kołderka do wózka dziecinnego. Haft „Mossul". Deseń na arkuszu z krojami do N. 23 i 14, Fig. 91.

Składa się z szerokich pasków efektownego haftu „Mossul" i z pasów ciemno-bronzowego pluszu na który zachodzą wąziutkie brzeżki od pasów haftowanych. Na fig. 91 załączamy w połowie szerokości całkowity deseń pasów, który częściowo przedstawiają ryc. 15—19. Szczegółowy opis haftu Mossul podaliśmy przy ryc. 22—26 w N-rze 21, ta tylko w dzisiejszym wzorze zachodzi różnica, iż tu złoto ani srebro zupełnie nie wchodzi do haftu, lecz wyszywa się kordonkiem w taki sposób jak złotem, podług ryc. 25 i 26 w N-rze 21. Główną zaletę haftu podanego na ryc. 14 stanowił efektowny dobór kolorów i cieniów; którego opisem trudno oznaczyć dokładnie. Gwiazdy wyszywane podług ryciny 17 są koloru granatowo-czarnego (bleu-noir) ze środkami ponsowemi i zielonemi, rozeta ryc. 16 jest koloru ceglasto-ponsowego ze środkiem niebieskim, bronzowym i lila; rzucik zapełniający tło dany naprzemian wszystkiemi powyżej opisanemi kolorami. W wązkim szlaczku figury w kształcie liści są koloru bordeaux, okrągłe gwiazdki są bronzowe z lila i pomarańczowemi środkami, inne części deseniu są w różnych cieniach zielonych, kółeczka zaś są różnoko-



N. 4. Sukienka z przemarszczeniem dla dziewczynki lat 6—8.



N. 8. Ubranie spacerowe.

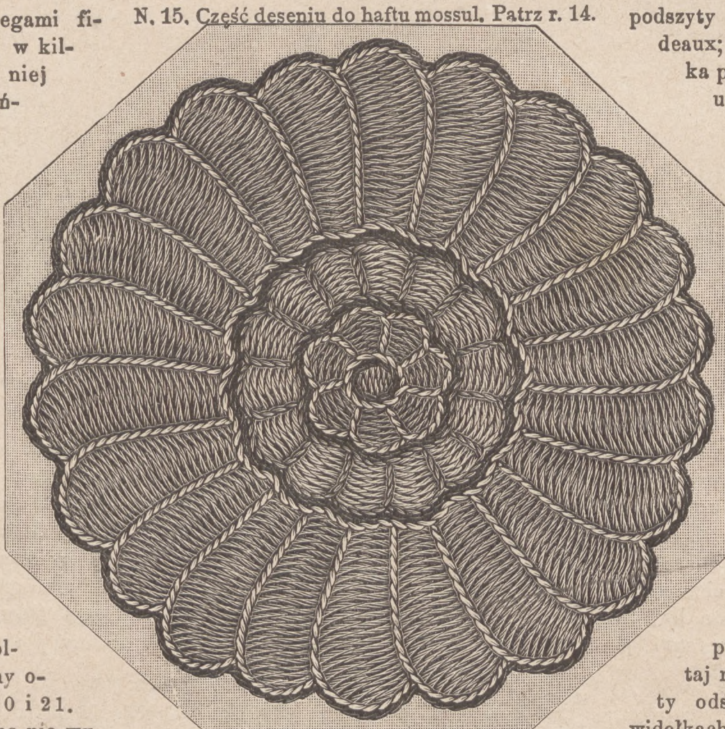
lorowe Paseczki odznaczające zęby w deseniu są pomarańczowe z czarnym. Rycina 19 wskazuje zszycie pasów haftowanych z pluszowemi, do czego najpierw przy pasach haftowanych dodany brzeżek z armeńskiej koronki (opisanej w przeszłym roku) odrobionej filozelą z czterech nitek, której górne ząbki przyszywane są na pluszu pojedyńczemi ściegami; nad tym brzeżkiem naszyta prosto poprzecznemi ściegami filozela składana w kilkoro a przy niej rząd grubego łańcuszka niebieskiego; ściegi utrzymujące filozelę są także niebieskie a koroneczka piaskowa. Inny wzór szlaczku daje ryc. 18. Podszewka pod kołderkę 145 cent. szeroką a 195 długą dana z pikowanego atłasu.



N. 15. Część deseniu do haftu mossul. Patrz r. 14.



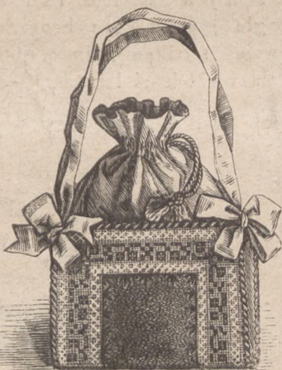
N. 12. Kapotka z końcami z tiulu cieniowanego.



N. 16. Rozeta do haftu mossul. Patrz ryc. 14.

N. 20—21. Woreczek z przyborami do szycia.

Mały, szczególniej w podróży praktyczny woreczek nakształt neseseru dowolnej wielkości, przedstawiamy otwarty i zamknięty na ryc. 20 i 21. Łatwe urządzenie wewnętrzne nie wymaga opisu; materyał stanowi aksamit, atlas i flanelka do wkładania igieł i szpilek. Zwierzchnie części modelu który opisujemy liczą po 9 c. szerokości a 14 długości; woreczek środkowy jest 17 cent. szeroki a 11 długi. Do wiązania służą końce ze wstążki a woreczek ściąga się na sznureczki jedwabne.



N. 20. Woreczek z przyborami do szycia. Patrz ryc. 21.



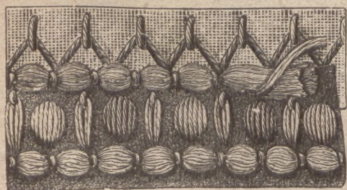
N. 14. Kołderka do wózka dla dziecka. Patrz r. 14—15.



N. 21. Woreczek w kształcie neseseru. Patrz ryc. 20.

N. 26—27. Fanszonik włóczkowy. Robota szydełkowa i na drutach.

Środek fanszonika 66 cent. długi, 16 szereki, robi się z włóczki jedwabnej na drewnianych drutach, gładko rzędami tam i napowrót, nitką wziętą podwójnie. Robota zaczyna się od roga środkowego na 4 oczka i obrabia 96 rzędów przybierając w każdym 1 oczko, tak aby ostatni rząd liczył 100 oczek. Koronka stanowiąca końce i obrobienie brzeżne przyrabia się grubem szydełkiem wprost do tła; na końce po 37 cent. długie trzeba poprzednio od rogów fanszonika dorobić łańcuszek z podwójnej włóczki 34 cent. długi. Rycina 26 wskazuje robotę koronki.



N. 18. Ścieg łączący pasy i szlaczek brzeżny, do ryc. 14.

N. 27—30. Kosz do robót.

Pleciony z grubego białego łyczka formą okrągłą liczy 35 cent. wysokości a 38 średnicy, wewnątrz podszyty kaszmirem bordeaux; zamiast pałączka powleczony przez uszy gruby sznur jedwabny. Zwierzchnie przyozdobienie stanowią skośnie naszyte pasy, z cienkiej szneli bordeaux, złożone ze środkowego pasa robotą na widełkach, obrobionego kordonkiem i ząbkami szydełkowemi ze szneli różowej tudzież kulki jedwabne. Inny wzór torsadki na widełkach z trzech nitek włóczki crewel, w jednym kolorze do cieniu, lub w trzech kolorach przedstawiony na ryc. 30. I tutaj również ząbki brzeżne i pikoty odstające środkiem torsadki na widełkach, dodane są szydełkiem.



N. 13. Czepeczek koronkowy.

N. 31. Zasłona na ścianę, do zawieszenia nad umywalnią.

Odrobiona na kanwie jawa lub materyale zwanym juta kolorową włóczką crewel lub filozelą, ściegiem krzyżykowym. Frendzla wiąże się kolorową włóczką a wysiepana jest wprost z materyału, brzegi oszyte plecionką. Zasłonę taką można zawiesić u dołu w oknie na ścianie.



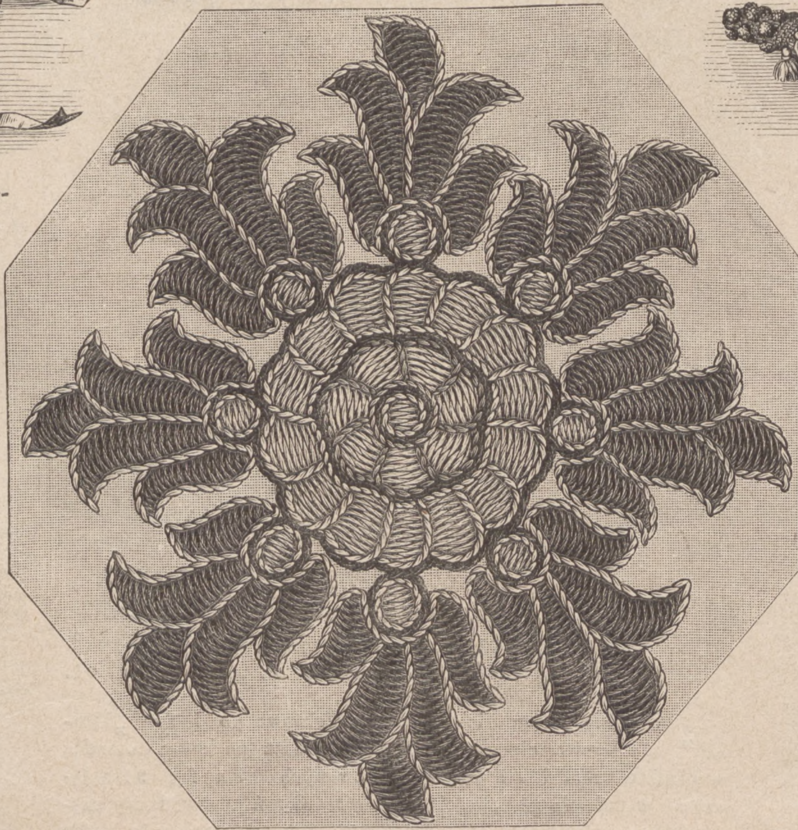
N. 22. Miotełka w futerale. Patrz ryc. 23.



N. 23. Miotełka i futerał. Patrz ryc. 22.

N. 32—34. Kosz formą pudełka, ozdobiony szlakiem i monogramem.

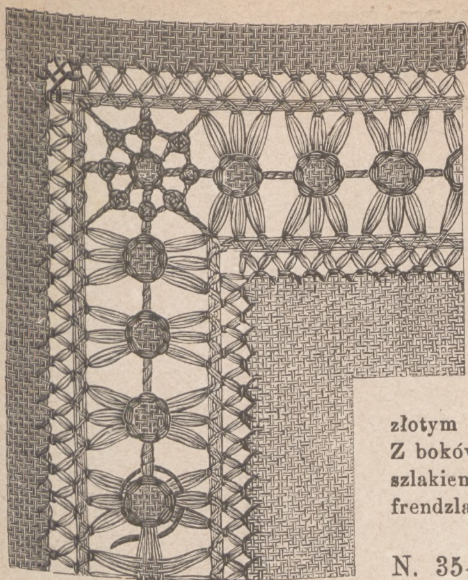
Kosz taki odpowiednio do wielkości, odrobienia i przyozdobienia może być użyty do robót, na negliżki, na drobiazgi toaletowe i t. p. Rycina 32 przedstawia model bardzo elegancki ozdobiony szlakiem krzy-



N. 17. Gwiazdka do haftu mossul. Patrz ryc. 14.

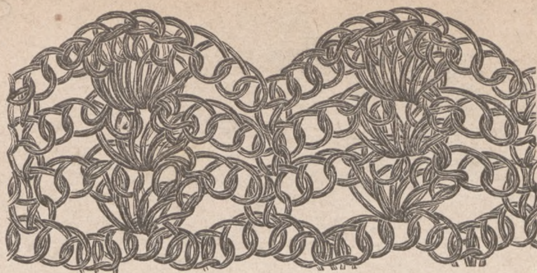


N. 19. Ścieg łączący pasy, do ryc. 19.

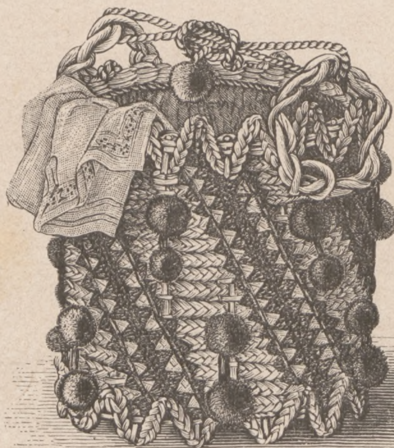


N. 24. Szlak z kratki ażurowej.

żowym wyszytym filozelą i nitką złotą, na wieczku od strony wewnętrznej ogarnirowanem koronką złotą, dany monogram aplikowany z atłasu, przyszyty sznureczkiem złotym na tle pluszowem. Z boków koszyczka pod szlakiem dana szeroka frendzla sznelowa.



N. 26. Ząbki szydełkowe do ryc. 28.



N. 28. Kosz do robót. Patrz ryc. 29—30.

N. 35—36. Girlandy do kapeluszy.

Rycina 35 przedstawia ubranie do kapelusza złożone z sześciu maków cieniowanych, przy których spuszczona suta girlandka z jaśno-zielonych liści osadzonych na miękkich gumowych ogonkach. Oryginalne ubranie dajemy na ryc. 36, odrobione z materyi cieniowanej od najciemniejszego ponsowego do najbledszego różowego. Kawałki materyi cięte formą podobną do serc, są lekko podgumowane dla nadania odpowiedniej sztywności, następnie układane w kontrafałdy i przymocowywane jedne nad drugiemi w ten sposób, iż naśladują jakby fantazyjne kwiaty.

N. 37—42. Kołnierze i chusteczki do sukien letnich.

N. 37. Riusza przepięta kwiatem.

Suta riusza koronkowa spięta



N. 27. Fanszouik robotą na drutach i szydełkową. Patrz r. 26.



N. 29. Pas sznelowy do ryc. 28.

jest wysoko na ramieniu kokardą z wstążki w środku której wpięta gałązka kwiatów.

N. 38 i 43. Kołnierz koronkowy z perełkami.

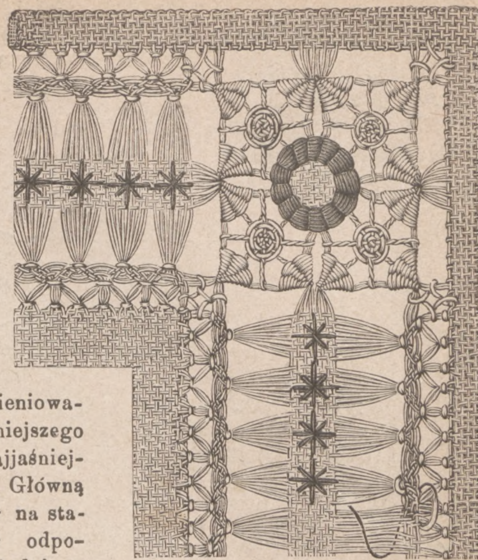
Perełki naszywa się ręcznie na koronce podług ryc. 43 (przedstawiającej próbkę w połowie szerokości), pikoty dane ze stalowych perełek. Formę kołnierza wycina się ze sztywnego tiulu i na niej naszywa koronkę trzy razy, riusza w około szyi nie naszywa się perełkami. Kokarda z wstążki atłasowej 5 cent. szerokiej.



N. 33. Litera do ryc. 32.

N. 39. Kołnierz z fałdowaną szmizetką.

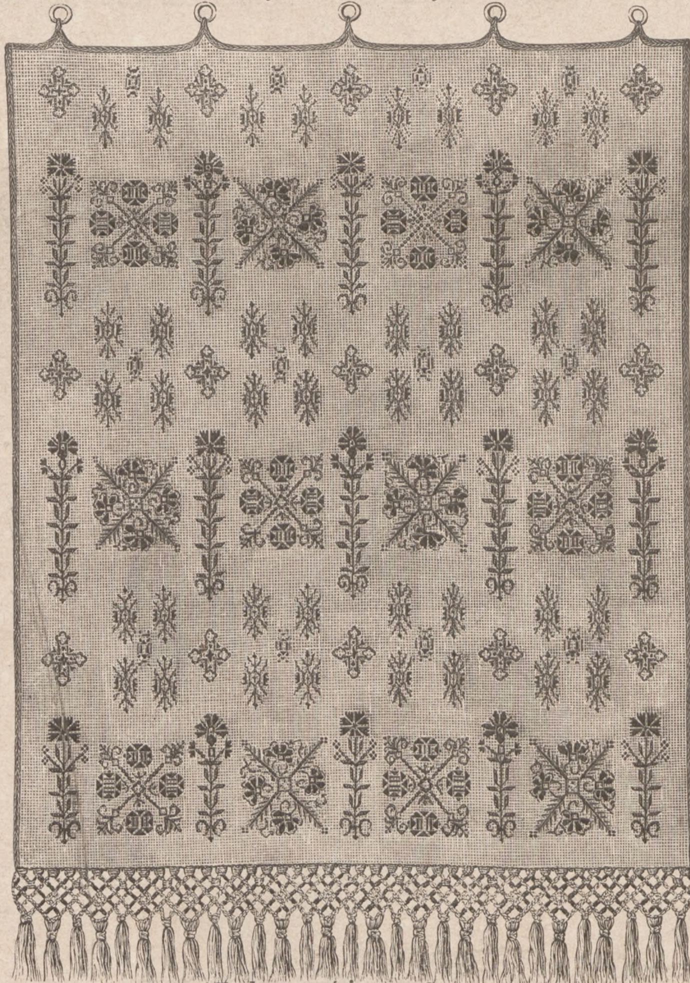
Materyały jedwabne cieniowane najmodniejsze obecnie, przyjęte zostały z takiem powodzeniem, iż zaczęto wyrabiać i letnie bawełniane materyały, cieniowane w podobny sposób. Na ryc. 39 widzimy suknię cieniowaną od najciemniejszego wiśniowego do najjaśniejszego różowego. Główną uwagę zwracamy na stanik i oryginalny odpowiedni do niego kołnierz. Stanik z baskiną bawetową z przodu i z tyłu, ma przody wycięte podług ryc. 39 złączone tylko wązkim paskiem i odsłaniające fałdowaną szmizetkę od wielkiego koronkowego kołnierza spiętego pod szyją fantazyjną metalową klamrą. Przy rękawach odpowiednie mankiety wywinięte na wierzch.



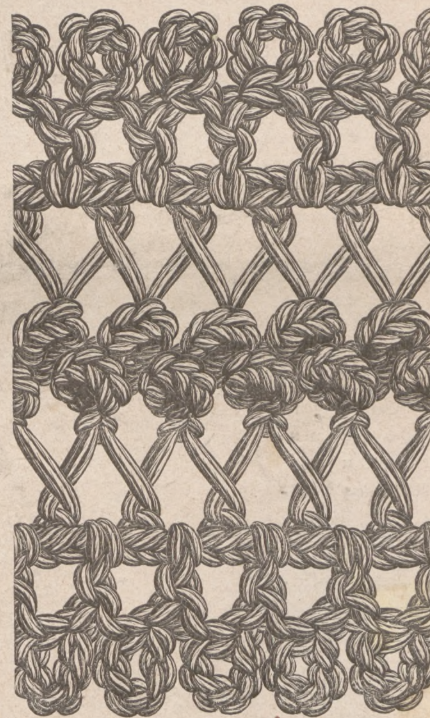
N. 25. Szlak z kratki ażurowej.

N. 40. Chusteczka.

Chusteczka przedstawiona z przodu na ryc. 8 ułożona z trójkątnego kawałka, 50 cent. szerokiego z tyłu w środku, po 94 długiego z brzegów prostych, a 168 cent. liczącego przy górnym skośnym brzegu. Środek chusteczki z tyłu, nie sięgając rogu dolnego przemarszczony jest kilkakrotnie do 15 cent. długości, brzegi w około ogarnirowane koronką, a rogi przednie są ułożone i skrzyżowane podług ryc. 8, pod kokardą z wstążki.



N. 31. Zasłona na ścianę nad umywalnią.



N. 30. Pas włóczkowy do ryc. 28.

N. 41. Riusza spięta kokardą.

Suknia z letniego materyału żółtawego koloru, ozdobiona żółtawą koronką, ma pod szyją sutą riuszą z koronki żółtawej z tego rodzaju, lecz węższą jak przy sukni. Trzy sznury wielkich szlifowanych dżetów, związane kokardą na ramieniu.



N. 32. Kosz w kształcie pudełka. Patrz ryc. 33 i 34.

N. 42. Chusteczka szalowa.

Ułożona jest ze skośnego kawałka satin-merveilléux w kolorze vieil-or do cieniu, 27 cent szerokiego a 103



N. 34. Szlak do ryc. 32.

długiego, złożonego w cztery fałdy. Brzeg dolny chusteczki ogarnirowany koronką fałdowaną wachlarzowo, z przodu na spięciu kokarda z atłasowej wstążki.

OPIS DO N. 27.

N. 1—3. Ubrania letnie.



N. 35. Girlanda do kapelusza.

Kapelusz z florenckiej słomki przybrany takąż wstążką.



N. 36. Girlanda do kapelusza.

N. 1. Suknia z czarnej grenadyny.

Piękne czarne ubranie odrobione było z jedwabnej deseniowej grenadyny, z surah przerabianego szlifowanemi perełkami i z szerokiej czarnej hiszpańskiej koronki, układanej w kontrafałdy. W odstępach pomiędzy fałdami i przy długich końcach wstążki naszyte grelotki z czarnych perełek. Tunika z surah mocno z jednego boku podpięta, z tyłu dopełniona jest draperyą z bryta grenadyny. Plastron z przodu stanika bawetowo zakończony, można dać i na plecach, lecz krótszy. Do plastro przyszyte epolety ze skośnej podwójnie złożonej grenadyny. *(D. n.)*

N. 46. Kapelusz pamela przybrany koronką.

Szyty z cieniutkiej gładkiej i w ząbki plecionej włoskiej słomki, przybrany jest 6 cent. szeroką koronką i 3 cent. szeroką blado-żółtawą atłasową wstążką. Wielka kokarda z wstążki, oszytej z brzegów lekko namarszczoną koronką, ułożona z przodu kapelusza podług ryc. 46, przepięta jest w środku metalową agrafką w kształcie skrzydlatego owadu. Rondo pameli od spodu podgarnirowane marszczonym atłasem a z wierzchu przysłonięte sutą riuszą z koronki.

N. 47. Kapelusz z florenckiej słomki.

N. 39. Kołnierz z fałdowaną szmizetką.

N. 37. Riusza spięta kwiatem.

N. 41. Riusza spięta kokardą.

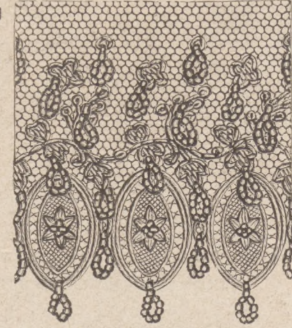
N. 38. Kołnierz koronkowy z perełkami. Patrz ryc. 43.

N. 42. Chusteczka szalowa.

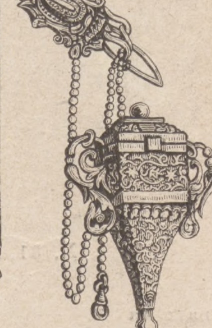
N. 40. Chusteczka trójkątna.



N. 44. Agrafka z portemonetką.



N. 43. Koronka z wyszyciem perełkowem. Patrz ryc. 38.



N. 45. Agrafka z flakonem.

Zwierzchnie przybranie stanowią trzy krótkie różowe i żółtawe cieniowane pióra, przytrzymane z wierzchu główki kokardą z blado-żółtej atłasowej wstążki, 8 cent. szerokiej. Sute podpięcie rondka ułożone z pierwiosnków różowych i żółtawych.



N. 46. Kapelusz pamela zdobny koronką.



N. 47. Kapelusz z florenckiej słomki.



Pl. 468.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.